



OBRAZKI GALICYJSKIE.



Q. 8732

OBRAZKI

GALICYJSKIE

PRZEZ

J. GORDONA.

B. 222.



SANOK,
NAKŁADEM KAROLA POLLAKA.

1869.

B2 12300

24996 II

Może ta mowa szczera przebrzmi niesłuchana:
Lecz pisarz w narodzie ma urząd kapłana;
Mniejsza, że źli i ciemni powstaną nań z wrzawą
Krzyząc: Do strofowania kto tobie dał prawo?
Byle choć kilku mądrych i zacnych współbraci
Rzekło, dłoń mu seiskając: — Niech ci Bóg odpłaci! —

A 8732



Braciom na tułactwie

przypisuje

AUTOR.

Pracovní a technická

literatura

AUTOR

Spis Rozdziałów.

	Strona
I. Z Paryża do Galicyi	1
II. W Galicyi	19
III. Szkołka ludowa — Artur Grottger . . .	31
IV. Sanoczanka na Wystawie paryzkiej (1867 r.)	47
V. Notatki Celiny	61
VI. Dom i szkoła amerykańska (Wspomnienie z Wystawy)	69
VII. Ruchy w Galicyi — Strofka Kornela Ujejskiego	81
VIII. Manifestacye religijne — Typy powstańców	93
IX. Nabożeństwo za poległego ś. p. Medarda Tchórznickiego — Wyprawa Czechowskiego	109
X. Indagacye — Zasługi żydów — Anekdota o ks. Adamie Sapiesze	123
XI. Okólnik Grekowicza — Ucieczka Niemiry — Pan Alfred w postaci Maryni	137
XII. Rys wyprawy Lelewela	147
XIII. Zgon poety Romanowskiego	163
XIV. Porównanie dwóch powstań: 1831 i 1863 r.	171
XV. Odwrotna strona medalu	185
XVI. Wybory na posłów — Redakcyja	203
XVII. Program polityczny	223
XVIII. Bracia Marmurki	231

2022 Fortification

1	I. Fortification of the City
2	II. The City Walls
3	III. The City Gates
4	IV. The City Streets
5	V. The City Markets
6	VI. The City Churches
7	VII. The City Schools
8	VIII. The City Hospitals
9	IX. The City Prisons
10	X. The City Forts
11	XI. The City Castles
12	XII. The City Towers
13	XIII. The City Bridges
14	XIV. The City Parks
15	XV. The City Gardens
16	XVI. The City Fountains
17	XVII. The City Clocks
18	XVIII. The City Bells
19	XIX. The City Organs
20	XX. The City Pipes
21	XXI. The City Drums
22	XXII. The City Cannons
23	XXIII. The City Mortars
24	XXIV. The City Bombs
25	XXV. The City Rockets
26	XXVI. The City Grenades
27	XXVII. The City Mines
28	XXVIII. The City Tunnels
29	XXIX. The City Caves
30	XXX. The City Dungeons

I.

Z Paryża do Galicyi.

I
I Parte do Galicij

I.

Godzina druga po północy ozwała się spiżowym jękiem z wyniosłych wieżyc i kopuł Paryża; wspaniały gród zaczął przybierać barwę smętną, ciemnym przyodziany płaszczem. Pozamykano już sklepy, magazyny, znikły światła w oknach i portykach; gdzieniegdzie tylko lekki turkot powozu, wrzawa studentów wychodzących z kawiarni przerywały głąchą ciszę, milczące postacie policyantów przesuwały się na chodnikach.

Tymczasem na placu Vendome postępował powolnym krokiem samotny przechodzień; kapelusz miał naciśnięty na czoło i wspierał się laską. Spiżowa kolumna Napoleona I sterczała przed nim poważnie, jak czarne widziadło — a gdy księżyc wychylił z po za szmaty chmur blade oblicze, cień cesarskiego pomnika roztoczył się na płaszczyźnie.

Mały człowiek, nieboszczyk, jakże wielki niekiedy rzuca cień po śmierci!...

Nieznajomy zatrzymał się na tem miejscu, spojrzął na ów podłużny, fantastyczny cień, umarły sztandar dumy; potem zwrócił się ku

Zachodowi, pomarzył, niewyraźne zgłoski konały mu na ustach, i smętny jak noc co go otaczała postąpił dalej.

Tak zatopiony w rozmyślaniach mijał pałace, szeregi latarni, zmierzając do dzielnicy miasta, gdzie zwykli zamieszkiwać myśliciele i pracujący biedacy.

Na placu Odeonu, na poddaszu jednego z domów przez otwarte okno błyszczało jeszcze światło. Z przyległej ulicy grono rozkosznych, strojnych Francuzek powracających z zabawy, roznosiło śmiechy, szczebiotanie, wśród woni pachnideł ulatniających się z ich trefionych włosów.

— Jestem Paryżanka — jestem wolna — zarabiam pięć franków dziennie — niech żyje Francja! — wołała żartobliwie jedna, a inne nuż jej przyklaskiwać.

Potem na zaułku ulicy znikł ów orszak niewieści, podobny do sennego panorama.

Ale przechodzień nasz stał na placu i wpatrywał się pilnie w okno, gdzie błyszczało światło.

— Henryku! — zawołał, Henryku!...

Nie mu nie odpowiedziano, nikt nie wyjrzał z góry.

Na raz dźwięki muzyki rozległy się z tamtąd.

— Przebóg! cóż to za czarowne, anielskie dźwięki.... lecz o tej porze.... cóżby to znaczyło?...

on jeszcze nie śpi... biedny Henryk, biedny choć ukochany marzyciel, im tkliwszy tem nieszczęśliwszy.

I pochyliwszy głowę, wsparty na kiju, nieznamy słuchał tych boskich tonów, ukochanego marzyciela jak go nazywał. Skrzypce już ucichły, on ich jeszcze słuchał, milczący, nieruchomy, podobny do posagu zachwycenia. Brzmiały one mu w sercu, choć umilkły dla ucha.

Po krótkiej chwili muzyka znowu się ozwała; ale na ten raz była to wielka melodja, niby mozartowska, potężna jak organ kościelny, przepłatana szczególnem przejściem, urywaniami westchnieniami, żegnającemi wszystko co się ma najdroższego, żegnającemi wszechświat cały.

Nieznajomy zdumiał — podniósł głowę, gdy blask latarni oświecił twarz jego bladą, wzrok badawczy, promieniejący, wlepiony w okienko, i głuchą boleść zawisłą na ustach. Potem nagle, jakby pchnięty siłą niewidzialną, nadprzyrodzoną, poskoczył do kamienicy, pociągnął za drót od dzwonka; a gdy się drzwi rozwarły, wbiegł na schody, nie zwracając uwagi na szemranie odźwiernego.

Ujrzał się nakoniec zadyszany w komnacie przyjaciela, zatopionego w muzyce; nic nie widzącego oprócz złocistej siatki z gwiazd rozsianych na ciemnem sklepieniu niebios; nic nie słyszającego oprócz silnych jęków własnej duszy, płaczącej na drżących pod smyczkiem strunach.

Przychodzień nie omylił się w domysłach, gdyż był wieszczem. Tam, gdzie ludzkie nie dosięgło oko, czego rozum doścignąć nie zdołał, tam przenikało jego serce, czucie. Zrozumiało ono, że z dźwiękami Henryka całe jego ulatało technienie, jak ostatni płomień z buchającej lampy.

Na stoliku w izbie leżało kilka listów z czarnemi pieczętkami i kwitł cyprys w wazonie. — Snać Henryk za życia odbywał swój pogrzeb. — Leżała nadto rozprawa Platona o nieśmiertelności duszy i odwiedziony pistolet.

Poeta wzdrygnął się na ten widok i postąpił z cicha do przyjaciela.

— Henryku! — rzecze łagodnie, biorąc go za ramię — Henryku, wracamy do ojczyzny, do ojczyzny... czy słyszysz?...

Na magiczny wyraz „ojczyzna“ artysta ocknął się, gdyby lunatyk co powraca do świata rzeczywistego, obrócił się, spuścił oczy, zadumał, brzemienne chmura przesunęła się na jego wyniosłem czole, i dwie wielkie łzy stoczyły się powoli po zakłęstych policzkach.

— Jeśli dobrze zrozumiałem — odpowie stłumionym głosem — mówiłeś coś Bolesławie o ojczyźnie. Lecz nie dość poruszać, nie dość łzy wyciskać; na toś jest wieszczem, byś nam wskazał bracie, jaką iść drogą by wolność otrzymać...

— Ależ Henryku, uspokój się mój najdroższy... bo widzisz...

— Wspomniałeś mi o ojczyźnie — przedłużał — ojczyzna... ojczyzna... ha! ha! ha! I gdzież ona dzisiaj? Powiedz Bolesławie!

— Ojczyzna w tobie, Henryku, i wśród tych z którymi spokrewniony jesteś wielkim duchem, czuciem! Ojczyzna tam, wśród ziomków rozproszonych w krainach lodowatych, pracujących przy kagankach kopalń; — ojczyzna tu, pośród naszych współtowarzyszów broni, słuchających prawd głoszonych z trybun, gotując się do ważnych przeznaczeń; — ojczyzna pośród milionów niezepsutego ludu polskiego; — ojczyzna dla nich, dla nas; — ojczyzna, nagroda dla wszystkich, co dla niej cierpieli.

Henryk machinalnie padł na sofę, otarł pot z czoła i wsparł je na rękę, pochylone pod ciężarem myśli i utrudzenia.

Bolesław wydobyl tymczasem z kieszeni gazetę i odczytał mu ustęp o reformach galicyjskich, o objęciu namiestnictwa przez rodaka, o nadziejach dla kraju i jego manifestacjach. Następnie ujął dłoń przyjaciela, uściśnął ją tklawie i dodał: Wszak pojedziemy!?

— Ach te formy bezduszne, te samolubne manifestacje — rzeczy z goryczą Henryk, po trzäsając głową. Sama forma, to poganizm! poganizm wależący dziś z chrześcianiżmem, element zniszczenia....

— Boć życie człowiecze jest walką Henryku. Nawet w pośród śmierci żyć potrzeba i szerzyć życie w miejscach spustoszenia. Poganin umrzeć może, chrześcianin nigdy.

— Tak! chrześcianin nigdy... prawda... ale czy znasz ty z bliska nowożytnych Faryzeuszów...

— Przestań Henryku! przestań! zaklinam cię na Boga... piołunem przesiąkły ci płuca...

— O! muszą to być skończeni niegodziwcy, skoro Zbawiciel pobłażliwy dla wszystkich jawnogrzeszników, o nich jednych orzekł, że...

— I na co ten jęk rozpaczy?... Rozpacz jest zawsze złym doradcą. W Bogu nadzieja... cierpliwości tylko, a wolność nam zabłyśnie...

— Ha, ha, ha!... Rozpacz? — to drobnostka, przelotne uczucie, stokroć znośniejsze od pragnienia. Nadzieja? — sidło na dudków. Cierpliwość? — hasło niewolników. A wolność... wolność? — umrzeć za nią można, łatwo;... wolnym być niepodobna, zawczasie!

— Ach! patrz na świat poglądem historyka i filozofa... Nie bierz sprawy tak gorąco do serca... bracie mój!

— Mamże być obojętnym? Trup tylko może nim być. Siła życia i obojętność nie znoszą się wzajem.

— No, jeśli mię kochasz marzycielu luby, to przestaniesz narzekać... Rozdrażniony jesteś nie-szczęśliwem położeniem. Precz z żalem nie

mężkim!... on rycerzom nie przystoi... a jutro wyruszymy do Polski. Nie odstąpię cię odtąd ani na chwilę.

Nastąpiła pauza uroczystego milczenia, w końcu dwaj koledzy uścisnęli się na nowo. Ranek zastał ich pogrążonych we śnie, atoli dłonie ich nie rozstały się z sobą.

Nazajutrz obydwaj byli już w podróży.

Henryk, po strasznem wstrząśnieniu moralnem, czuł się jeszcze utrudzonym, a milczenie jego zdawało się być tęsknotą, modlitwą, jaką słał do Stwórcy.

Bolesław szanował te godziny przejścia z jednej epoki żywota do drugiej, i kiedy niekiedy tylko kilkoma słodkimi wyrazami niósł pociechę przyjacielowi.

Dwaj wędrowcy przybywszy do Strasburga, postanowili zatrzymać się, aby zwiedzić katedrę.

— Gdzie tu mieszka ksiądz Maliszewski? rzecze jeden z nich do nadobnej dziewczynki, zbliżając się do świątyni.

— Właśnie dopiero widziałam prałata Polaka o którego pytasz — jest jeszcze w kościele.

— Pójdź Henryku! obaczysz postać ziomka, o którego obcierały się w przebiegu dzieje narodu naszego, podobnie jak o tę przeźroczystą,

wystrzeloną ku niebu, gotycką wieżycę, obcierały się wieki.

Gdy wstąpili do świątyni, była niemal pustą — tam i owdzie tylko ukazywała się jeszcze klęcząca niewiasta w kornem wezbraniu ducha. Niebo dnia tego było ołowiane i zmrok panował w świątyni. Gorzała lampa przed wielkim ołtarzem. Płaskorzeźby świętych zdawały się nosić krepowe całuny na obliczach, a z kamienia wystrzygane fryzy w czarne koronki ubrane.

W głębi nawy postępował obok filarów poważny staruszek, którego można było wziąć za cień, co się wysunął z grobowca Karolowingów, stojącego za nim otworem.

Pod ciemnem sklepieniem grobowca migotały blade płomyki, jakoby dusze chodziły.

Podróżni zbliżyli się z uszanowaniem do starca i nie omylili w przeczuciu: była to chodząca tradycja w osobie księdza Maliszewskiego. Kapłan ów dowiedziawszy się o celu ich pielgrzymki, ze łzą udzielił im błogosławieństwa, a pokazawszy wszystko co było najgodniejszego uwagi w starożytnym przybytku, odprowadził do kolei.

W ciągu drogi wywodził z właściwą sobie erudycją pochodzenie rozmaitych narodów. Wszystkie powstały z kości Polaków — wszędzie wedle niego byli Polacy — zamieszkiwali nawet w raju — Adam i Ewa urodzili się niezaprzeczenie ze szczepu polskiego.

Wypada ztąd, że i Pan Bóg jest Polakiem!
Pocciwy Maliszewski! Pociąg już ruszył i był daleko, artyści przesłali ostatnie skinienia na znak pożegnania; a jeszcze rysowała się na tle powietrznem sylwetka staruszka z kapeluszem w rękę, nieruchomego, patrzącego za odjeżdżającymi braćmi.

Po kilkogodzinnej wycieczce sznur wagonów stanął w romantycznej dolinie pomiędzy górami. Wśród doliny rzeka — po nad brzegiem białe domki przeglądające się w wodzie jak łabędzie — samo miasto i piękne i schludne: zowią go Heidelbergiem.

Na górach rozpinąła się wdzięcznie winna latorośl — u ich stóp słaniały się obłoczki — z wierzchu wychylały malowniczo z pomiędzy winnic zwaliska sławnego zamczyska, łudzającego oko ogromem, fantastycznie szczerbatemi murami, na których piętrzyły się uśmiechające drzewa i powoje. Jakże to czarowny krajobraz!

Artyści spojrzeli na siebie i zrozumieli się wzajem.

Nie upłynęło pół godziny, gdy dziewczica o kruczych włosach, córka jakiegoś zmarłego pułkownika niemieckiego, uprzywilejowana cyceronka zwalisk heidelbergskich, oprowadzała Bolesława i Henryka po zbrojowniach, zapadłych

krużgankach, ciemnych korytarzach ruin i opowiadała z dowcipem historję feudalnych baronów, ukazując na basztę w gruzach, gdzie głodem morzono i głodową śmiercią umierać kazano.

— I nie nudzi się też pani — rzecze na odchodnem Bolesław — w tych opuszczonych, omszałych rumowiskach, gdzie każdy kamień przemawia o smutnych pamiątkach przeszłości?...

— Nie zaiste — odpowie z uśmiechem — ja przenoszę piękną ruinę nad ładająką budowę.

Dresden! zawołał konduktor, otwierając drzwiczki wagonu, z którego wysiedli nasi pielgrzymi. Ujrzeni się oni w stolicy saksońskiej. Cóż to za przemiana!

Niedawno Paryż — obecnie Drezno... dwa miasta typowe. Każde z nich ma swój zgiełk odrębny, charakterystyczny. Pierwsze, ognisko hałaśliwej rozkoszy; drugie, ustronie spokoju i łatwego bytu.

Bolesław w tem ostatniem pozostawił niegdyś część życia, a tysiące różnorodnych wspomnień cisnęły się teraz bezładnie do jego duszy. Wskoczywszy ze swym kolegą do najbliższej doróżki, gdy potoczyła się po ulicach niemieckiego grodu, ukazywał miejsca będące świadkami miłych, często i cierpkich chwil jego przeszłości:

Tam, na wyniesionym tarasie panującym nad Elbą, błogo przed laty marzył i myśli swe przelewał na papier; — dalej, na smętarzu, żegnał zwłoki zasłużonego ojczyźnie męża, zanim rzucono bryłę ziemi na trumnę jego; — owdzie, przed kościołem katolickim, bywało, witał co rano tłumy rodaków, ściganych przez zawistnych Bergów i Murawiewów, co się tu zatrzymali byli, jak zbłąkani wygnańcy na rozstajnej drodze.

W sakwach owych pielgrzymów mieściła się krewią zbroczona garść ziemi ojczystej, aby nią zimna dłoń obca przysypała im spiekle od łez żrenice. Zaledwie dozwolono im było dotknąć stopą niemieckiego kraju, gdzie za mało miejsca na kartofle, cóż dopiero na ludzi!...

Na ten raz na placu uwijały się same cudzoziemskie postacie, nieznane oblicza; nie słysząc było współziomków mowy — apostołowie ci narodowi rozeszli się po świecie... i jakaś nie dająca się wyrazić tęsknota zawisła na murach, a smutki szły za wędrowcem.

Doróżka zatrzymała się przed domem ocienionym drzewami na przedmieściu Loschvitz.

— Nie wiadomo przypadkiem pani, czy księżna Kamilla jest u siebie? zawołał Belesław do wychodzącej z bramy gospodyni.

— Ach! to pan... tak dawno nie widziany... witam z podróży... ale czyż to pan nie wie, że

przezacna nasza księżna od kilku miesięcy wyjechała do Szwajcaryi i że mieszka w Solurze.

Bolesław zadumał chwilę.

— Czy nie dozwoliłaby nam jejmość spocząć trochę w jej dawnem mieszkaniu, jeśli nie zajęte?

— O najchętniej, najchętniej, proszę z sobą!

Mieszkanie, do którego weszli, trąciło pustkowiem — porozrzucane meble stały pod zblakłemi pokrowcami — kurz osiadł na oknach i na marmurowym kominku — wahadło u zegara nie poruszało się wcale — portrety na ścianach jakoś smętno patrzyły ze złoczonej ramy — aloesy w wazonach, dobroczynną niegdyś pielęgnowane ręką, obwisły jak wierzby płaczące — i skrzypiała odarta z dywanów posadzka pod stopami przechadzającego się Bolesława.

Przystawał on przed niektórymi przedmiotami, zdawały się coś mu przypominać; ktoby się atoli w niego dobrze wpatrzył, dostrzegłby był, że choć milczący, obcuje przecież z niewidzialnemi istotami, które przyzwał potęgą wyobraźni.

— W tym salonie — rzecze do Henryka — pamiętam, wrzało tętno życia — ztąd rozchodziły się w cichości ofiary, jakie ten tylko ocenić zdoła, kto Chrystusa nosi w sercu. Dziś, niestety! wszystko tu pyłem pokryte, jak relikwiarz przeszłości naszej. Żałuj Henryku, iż nie znałeś księżnej!

— Nie znałem jej wprawdzie osobiście, ale znam z poświęcenia. Jako prawdziwa Polka poniosła na ołtarz rozkrzyżowanej ojczyzny nie tylko siebie, całe swoje mienie, lecz i to, co kobieta ma najdroższego: własne dzieci. To ofiara Abrahama!

— I dodaj, że doznała za nią tysiące upokorzeń od kasty, w której miała nieszczęście się urodzić.

— A dziś — ozwała się gospodyni domu — opuszczona wygnanka pracuje w pocie czoła na chleb powszedni w małym miasteczku, w cieniu skał szwajcarskich, w tej samej Solurze, gdzie nagrodzony przez cudzoziemców Kościuszko spoczął po trudach i znojach.

Na te słowa powieki Bolesława oblekły się purpurową obwódką. Wyjął z kieszeni pulares, wydarł zeń kilka kartek i podał je Henrykowi z prośbą, aby skreślił za dyktandem notatkę treści następującej:

„Byłem naocznym świadkiem, jak księżna Kamilla spieniężywszy bransoletki i inne kosztowności, ostatnie pamiątki po matce swojej, zebraną za nie kwotę przesłała do Poznania na uwolnienie więźnia stanu.

„Widziałem jej radość, ilekroć razy dzieliła się skromnym obiadem, własną przyrządzonym ręką, lub ustępowała go całkowicie nieszczęśli-

wym braciom, sama im służąc do stołu. Wedle niej: gość w domu, Bóg w domu!

„Raz przyniosłem jej gazetę — O! nie potrzebuję jej czytać — zawoła — wiem i bez tego, że stan sprawy naszej pogorsza się niestety.

— Zkądże ta wieszczba? zapytałem.

— Nie jestem wieszczką, ale mam swój polityczny barometr: dziś np.: będąc w mieście, skoro spotkałam się z jaśnie wielmożnymi rodakami, ukłony ich były chłodniejsze od tych, którymi mię darzyli, gdy nadzieja dla Polski wyraźniejszą się stawała. O! to barometr nieomylny...

„Księżnę Kamilę porównać można do matek Spartanek, silnych wysoką rezygnacją. — Pewnej nocy ułożyłem był plan wydarcia synów jej z kleszczy moskiewskich. Uszczęśliwiony z zamiaru przybiegam do niej z rana z przedstawieniem, że ponieważ miejscowość w Syberyi, dokąd zagnani zostali, jako i język moskiewski są mi dobrze znane, ułatwienie im ucieczki uważam za rzecz możebną — i że powrócę dzieci na jej łono, byle mi dała na to słówko upoważnienia.

„Wysłuchawszy mię zamyśliła się głęboko — w piersi nieszczęśliwej matki zerwała się walka — była ona straszliwą, skoro odbiła się na licu. Po wstrząśnieniu nastąpiło długie milczenie, a potem święty spokój rozlał się na jej pogodnem czole.

— Nie! rzecze tonem łagodnym, acz stanowczym — panu się tak narażać nie wolno — błagam, nie wspominaj mi więcej o swym zamiarze.

Opuściwszy Loschvitz, towarzysze ujrzeni się w galeryi obrazów, w apartamencie Madony sykstyńskiej. Zasiadłszy tam na kanapce, spędzili na melancholiczno-religijnem rozmyślaniu godzin parę. Wzrok ich był wlepiony w rozpostarte przed nimi płótno, na którym Rafael wyobraził ideał najwyższego piękna, ideał boskości, dziewicę matkę, królowę nieba, królowę niewiast, taką, jaka się objawiła jego geniuszowi.

Madona w orszaku aniołów, nucących pieśń wesela wiecznej miłości, zstępuje z czystych niebios na ziemię, pogrążoną w chmurach. Wiatr unosi jej jasną zasłonę i leciuchne szaty. Na ręku pieści dziecię, którego spojrzenia świat lubo witają — a cudowne oczy świętej dziewicy pałają nadprzyrodzoną potęgą i mieszczą tyle myśli i tyle uroku, że ten kto raz w nie spojrzał, całą w nich utopił duszę.

— A co? uspokoiłeś się Henryku. Te oczy, to balsam na zbolące serca rany! Nie prawdaż?...

— Rzeczywiście, dziwny spokój mię ogarnął,
odkąd tu jestem. Czarowna geniuszu sztuka!

— A teraz do Polski mój bracie — do Polski!

— Obyśmy się tylko nie rozczarowali!...

II.

W Galicyi.

11.

W. G. G. G.

II.

W hotelu europejskim we Lwowie odbywała się uczta.

Kilku obywateli ziemianinów przyjmowało Bolesława i Henryka, P. Tadeusz Ch....., koroniarz, wzniosł zdrowie wygnańców i wychodźców; inni zaś współbiesiadnicy poszli za jego przykładem.

Dwaj artyści podziękowali szanownemu towarzystwu wyrazem: kochajmy się!

Zaprawdę, miłe było tym ostatnim owo serdeczne przyjęcie ich na wstępie do kraju. Kółko biesiadników coraz się zwiększało, gdyż gospodarz hotelu zwiastował przybywającym gościom o powrocie emigrantów ze stron dalekich; że zaś imiona ich były głośnie w koronie polskiej, nie jeden z dobromyślących biegł, aby poznać się z nimi.

Byli atoli i tacy, którzy trzymając się na uboczu, z ciekawości tylko zaszli do sali i spoglądali z ukosa na ochocze kółko. Rozlegające się okrzyki: Sybir! Paryż! sejm polski! konsty-

tucya! zdawały się razić ich okropnie. Wszelakoż byli to ludzie w żupanach, rogatywkach, przewiązani pasami. Henryk zauważał, że jeden z tych ichmościów rzucił na niego przed odejściem piekielne wejrzenie.

Cokolwiek bądź, kolacya przedłużyła się do świtu. W końcu, artyści radzi, że przyjaciół tyłu mają w koło siebie, uścisnęli wszystkich na dobranoc.

— Czy nie macie rodacy jakich potrzeb, czego do załatwienia w stolicy Lwa? Proszę powiedzieć otwarcie.... najszcześniejszym byłbym, gdybym posiadał dowód ich zaufania — wołał jeden z obywateli do odchodzących.

— A ja proszę — dodał drugi — abyście raczyli moją wiejską chatę za własną uważać — otwartą jest ona dla was i we dnie i w nocy.

— Ja zaś — rzekł trzeci — zapraszam na jutro panów po szczególe i wszystkich w ogóle do siebie na obiad, itd.

Oświadeczyn było bez liku. Potem całe towarzystwo rozeszło się na spoczynek.

Nazajutrz kronika dziennika zwiastowała przyjazd Bolesława i Henryka; a dyrekcyja policyi wydała swym ajentom rozkaz czuwania nad przybyłymi i śledzenia ich kroków.

Trzeciego dnia świeżo-przybyli przyjmowali u siebie odwiedziny nowych znajomości. Pomiedzy innymi, p. T....., literat, człowiek układnej

i przyjemnej powierzchowności, wspomniał o nadchodzących świętach Bożego Narodzenia, a wiedząc, że dwaj ziomkowie są niejako w Galicyi cudzoziemcami, zaprosił ich do siebie w gościnę.

Staropolski to zwyczaj obchodzenia uroczyście wilji w gronie familijnem. Wyrazy pana T..... obudziły nie jedno wspomnienie w duszy wygnańców. Byli i oni niegdyś szczęśliwymi, gdy się dzielili opłatkiem, tym widomym znakiem chrześcijańskiego braterstwa, pod rodzinną strzechą, ze swymi najbliższymi krewnymi i przyjaciółmi. Teraz, zdala od nich od lat wielu, nie pewni ilu ich jeszcze pozostało przy życiu pod knutem moskiewskim, z rzewną tęsknotą udali się z panem T..... na ziemię sanocką, gdzie zamieszkiwał.

Minęła noc Bożego Narodzenia wśród miłej, długiej, rodaków gawędy; przebrzmiała kolęda, jedna z tych kolęd, która daje świadectwo o wesołości i życiu bez troski praojców naszych, co ją układali. Nazajutrz w kościółku z modrzewia czysty głos wieśniaczki: Panna porodziła niebieskie dzieciątko, przyjemne zostawił echo w duszy słuchaczy. Nastąpiły święta, a z niemi i wzajemne odwiedziny obywateli sanockich.

Bolesław z Henrykiem mieli sposobność pozawieżywania licznych znajomości. Wyznać potrzeba, że wszędzie doznali dobrego przyjęcia;

im zaś który ze szlachty był uboższym, tem szcudrzej występował na przyjęcie gości.

Henryk oddychając powietrzem krajowem, na gruncie dawnych pamiątek, zaczął przychodzić powoli do siebie. Pomiedzy nim a Bolesławem była atoli wydatna różnica, oddzielne piętna, które na ich umysłach wycisnęły różne koleje żywota spędzonego na obczyźnie. Henryk zdawał się być złożony z dwóch istot, z których jedna czuła polepszoną rzeczywistość swego istnienia, druga ulatała na scenę smutnego dramatu przeszłości.

Pośród zabaw, toastów i wesołych, młodych twarzy grona, zwracał on się do swego kolegi mówiąc: — Iluż to braci już drugi, trzeci, ba! i czwarty krzyżyk spędza na twardym bruku emigracyi i wygnania! A dzieci ich słuchają, jak Adam pieśni o raju, słuchają powiastek o tych świętach Bożego Narodzenia w ukochanej, utęsknionej Polsce, zawsze pięknej, bo swojskiej, bo ojczystej. Tam na wygnaniu tworzył swe dzieła Słowacki — tam nad głowami wieszczów polskich we wspomnieniu tylko igrały światła naszej wiechy o złotych owocach i płażały kolędy — chociaż gwiazda Magów im tak dobrze jak nam przyświecała, nam, późniejszym tułaczom.

Henryk długie godziny poświęcał marzeniom, które zdawały się być pokarmem jego, jakkolwiek

marzeń tych o przeszłości nie możnaby porównać do owych ptaszków lubych wspomnień, o których jeden z poetów wyrzekł, że przyspiewują naszej starości.

Bolesław przeciwnie, żył przyszłością. Oddał się pracom umysłowym, czytaniu, pisaniu, co przeplatał miłemi gawędki z rodakami wśród wieczorów zimowych; czynił wycieczki, badał stosunki polityczne i społeczne kraju, zastanawiał się nad wszystkim, co w okolicy napotkał pięknego i godnego uwagi. Pogląd zaś swój na obecne stosunki galicyjskie wyraził w liście piśnianym do jednego ze swych przyjaciół, treści następującej:

dnia 20 stycznia 1867.

Dawny Towarzyszu broni i Przyjacielu mój!

I tak jestem w owej Polsce, której lat dwadzieścia nie widziałem i straciłem już był nadzieję oglądania. Tysiące wspomnień ciśnie się do duszy. Zdaje mi się, że tu spadł jak z planety; i dziwna rzecz! że choć słyszę mowę rodzinną do koła, choć się widzę wśród swoich, doznaję dość serdecznego przyjęcia, jakiś niepokój ogarnia mię chwilami. Miałże by to być zabytek dawnej trwogi, nie zagładzonej latami? jestże to wynik z obecnego położenia, w jakim się kraj znajduje? albo jedno i drugie razem? ?...

Cokolwiek bądź, myśl moja ulatuje ku Tobie, a z piersi wyrrywają się słowa: Nie wracaj, uzbrój się raczej w cierpliwość do czasu!

Posłuchaj:

O ile w ciągu dni kilkunastu miałem sposobności obeznania się ze stosunkami społeczeństwa galicyjskiego, porównać je mogę do grona licznych rodzin, z których znaczniejsza część nie zadowolona ze starego gospodarstwa przenosi się nagle do nowego, zostającego dopiero w restauracji.

Jedne z tych rodzin dźwigają mozolnie na barkach ciężkie kamienie i glinę do budowy.

Inne wyczekują, dopóki ta dla nich przez pracowników, myślicieli, ludzi czynu i poświęcenia, urządzoną wygodnie nie zostanie.

A są i takie, co niekontente z nowego składu rzeczy, starają się wszelkimi środkami (mając ich wiele — widomych i tajnych), aby żyć po staremu, bo im z tem dobrze, przynajmniej na dzisiaj.

Rząd tego całego społeczeństwa zostawił mu wolność wypowiedzenia swych potrzeb w Izbie poselskiej, w dziennikarstwie, słowem we wszystkich organach publicznych, — taką wolność, jakiej Wy tam w Paryżu nie znacie. Zdaje się on być usposobionym okolicznościami do zbadania stopnia dojrzałości politycznej owego społeczeństwa — do dotknięcia, że tak powiem,

głównych jego pulsów, po których poznaje się stan zdrowia i siła.

Naród więc nasz składa obecnie egzamen *maturitatis*, od którego zależeć mają przyszłe jego losy.

Jeżeli Węgrzy lepiej się popiszą od Polaków i Czechów, przewaga pierwszych u dworu będzie zapewnioną, gdyż to jest naturalnem następstwem. Przemawia za nimi korona św. Szczepana — z którą atoli i my mamy historyczny związek.

Pomimo to, skoroby Polacy okazali się nieudolnymi do złożenia w jedną harmonijną całość kółek, kółeczek, dźwigni, mogących nadać ruch i życie ogromnej maszynie organizacyi narodowej, wówczas cudzoziemcy (zostający pod panowaniem domu Habsburgów) orzekać będą o ich potrzebach!...

Właśnie odbywają się tu teraz przygotowania do Sejmu galicyjskiego — i widać tu już porzynającą się walkę reakcyi z partją postępową. Nie podpada wątpliwości, że pierwsza weźmie górę. Z drugiej strony ambicje osobiste odgrywają tam i ówdzie rolę. Nadto, pewna częśćka Rusinów, zowiących się sami *russkimi* (t. j. nie swoimi, lecz cudzymi), tudzież płatnych biurokratów, mających jeszcze pretensje do rządzenia, a nie do służenia, i rywalizujących z nimi ztwardziały konserwatystów starego nieporząd-



ku, kosmopolitów udających patryjotów, ogląda się na Moskwę, przypominając sobie jej wdanie się podczas wojny węgierskiej 1849 r. Chcieli by oni spokrewnić się stale braterstwem jednego knuta. Wszelakoż kozacka nahajka na ich plecach, może by ich wcześniej czy później przeistoczyła na patryjotów.

Do tego wszystkiego dodawszy tajemniczych przybyszów z rublami w kieszeni, krążących po kraju pod różnemi postaciami, roznoszących zgubną propagandę pomiędzy obalamuconem chłopstwem — a wystawisz sobie jak olbrzymiej tu trzeba pracy ludzi dobrze myślących, jakiej przezorności i czujności rządu, żeby zaradzić nałogowemu złemu.

Jakie nastąpią losy dla Galicyi, w tej chwili trudno przewidzieć. W Bogu nadzieja, że jakoś to będzie...

Wystąpić by powinno z ostatnich wyborów na posłów stronnictwo zdrowe, reprezentacja istotna kraju na Sejmie państwowym, na której by się rząd oparł, jako na rzeczywistych sterownikach naszych, mężach najdzielniejszych i najświatlejszych z pomiędzy nas — mniejsza o ich herby i czcze tytuły! puste bańki mydlane!...

Mężowie ci zaufania winni by zrozumieć wagę chwili do energicznego działania, tak pod względem wzmocnienia Państwa, porozumienia się z Węgrami i Czechami, jako i zaprowadzenia

u siebie organizacyi autonomicznej. Przedstawić by powinni na Sejmie ogólnym Stanów ideę czysto słowiańską, narodową, chrześcijańską, społeczną; ideę wolności w obec idei azjatyckiej, komunistycznej i arystokratycznej; a z taką ideą by nie zginęli! bo ona jest prawowitą podstawą świętych zasad ludzkości.

Oby Pan Bóg nie dopuścił, aby powiedziano kiedyś o nas: zginęli, bo chcieli!...

III.

Szkółka ludowa. Artur Grottger.

III.

Pewnego pięknego poranku Bolesław zrobił wycieczkę do wsi H., gdzie uderzył go obraz godzien naśladowania i wspomnienia.

Żywy ten obraz przedstawiała grupa uczących się dzieci włościańskich. Śliczna to jutrzienka przyszłości! gdy na teraźniejszą generację tak mało liczyć można, niestety!...

Ze wszystkich stron kraju naszego dają się już słyszeć liczne głosy o potrzebie podniesienia i rozpowszechnienia oświaty ludowej, bo lud, to fundament. Potrzeba ta oświaty jest dziś tak ogólnie uznaną, iż bliższe jej uzasadnienie było by zbytecznem. Jest to potrzeba nagła, nie cierpiąca zwłoki. Krótkowidz tylko może nazywać lud nasz leniwym, niedbałym, niesfornym, skłonny do pijaństwa, dającym się łatwo obalamucić, posiadającym popędy komunistyczne i t. d. i t. d., i przypisywać te wady, w których leży niedola kraju naszego, — przypisywać je złej naturze ludzkiej, złemu usposobieniu, złej

woli, a nie brakowi należytej oświaty w prze-
ważnej klasie włościańskiej.

Zamiast więc radzić, pisać i znowu radzić,
rozwódzić się o szkołkach ludowych, korzystniej
by było, gdyby każdy z przyjaciół ludu kupił
dla niego elementarze i zaczął uczyć młodszych
swoich braci, lub przyjął do nich nauczyciela.

Świetny tego obraz widzimy w gminie H.

Wieś H. leży w okolicy miasteczka Brzozowa,
wśród równin sanockich nad Wisłoką. Zdale-
góry zamykają horyzont: na jednej z nich ster-
czą malowniczo zwaliska zamku w Odrzykoniu;
drugie ukrywają wsławione zdrojowiska mine-
ralne Iwonicza — wody jodowe, tak rzadkie
w Europie.

Dojeżdżając do H., postrzega się krzyże i
kapliczki przy drodze; a wśród zabudowań kmie-
cych, i czystych i schludnych, wznosi się kościół
modrzewiowy ze starą dzwonnica. Lud tu nie-
tylko nabożny, lecz i stojący wyżej w oświacie,
przemysłe i poczuciu narodowem od włościan
sąsiednich.

A jednakże poczucie to, jak świadczą fakta,
dalekiem od niego było w r. 1846.

Zkądżeż ta przemiana?...

Oto winien ją oświacie i dobremu obejściu
dziedziczek wspomnianej posiadłości.

Lud ten zadaje kłam wszystkim tym, którzy
nazywając chłopą pogardliwie *chamem*, starają

się dowieść, iż nic z niego zrobić nie można. Wszelakoż ów Cham był podobno bratem Sema i Jafeta! Zaprawdę, trudno go przeistoczyć, jeżeli osada ma posiadacza, wpisanego w tabulę krajową, należącego do rycerstwa dawno nie rycerskiego, którego mało obchodzi stan moralny Chama, i który obojętnie patrzy jak Icek lub Herszek arendarz o rudej brodzie i rozczochranych pejsach, wyzyskuje nędznego chłopca, mudia, durnego Iwana, jak go zwykł nazywać.

Podniesieni na umyśle i duchu wieśniacy w H., posyłają już synów swoich dla wykształcenia do szkół rzeszowskich i przemyskich. W niektórych objawia się talent do sztuk pięknych. W kapliczkach wiejskich dają się spostrzegać rzeźby ich własnego dłuta.

Rok 1863 i 1864 liczył w oddziałach powstańczych kmieci tamtejszych, którzy przyjmowali rycerzy z pod Grochowisk i Węgrowa jak braci, nie tylko nie odmawiając im przytułku i zwyczajnej opieki, ale nadto legitymując ich, jako niby należących do ich rodzin, w razie poszukiwania przez policję.

Zatrudnienia dziewcząt, ich hafty i inne ręczne roboty zasługują na wzmiankę — za sługa za całą należy się pannie Ludmile, pracy jej, poświęceniu i wytrwałości. Szczęśliwa, że może bliźnim świadczyć dobro! Jakże kraj byłby

szczęśliwym, gdyby wiele podobnych wydawał niewiaśc...

Ona to we czwartki i w niedziele zgromadza dzieci wszystkie do siebie. We dworze ma jedną salę urządzoną na szkołę — poustawiane w niej są ławki za stołami — na środkowej ścianie porozwieszane obrazy: Matka Boska Częstochowska — Bolesław Śmiały zdobywający Kijów — Zgon Czarneckiego — Jan Sobieski pod Wiedniem i obrona Częstochowy.

Przyjemny widok, gdy chłopcy od lat 8 do 14, w szaro-niebieskie surduciki przyodziani, zasiadają w szkole ławy przy ścianach; — bliżej, dziewczęta w różnobarwnych gorsecikach i spodniczkach, z wykładanemi od koszuli białemi kołnierzami i wstążkami wplecionemi w warkocz; a twarze wszystkiej tej dziatwy tak jowialne, wyrażające zadowolenie! a oczy wlepione w urodziwą i szlachetną ich nauczycielkę!...

Ta ostatnia, młoda matrona polska, siedząc na wywyższeniu, odczytuje dziatwie powolnym głosem ustępy z Biblii lub z historyi polskiej; następnie wyklada je, powtarza i tłumaczy; potem na wrywki zarzuca pytaniami wszystkich swoich uczniów z zadanej lekcyi.

Na uwieńczenie — jeżeli to niedziela — dzieci chórem śpiewają piosenki, usnute z dziejów narodowych — n. p.:

Boże Ojczy, Twoje dzieci
Płacząc, żebrzem lepszej doli;
Rok po roku marnie leci,
My w niewoli — my w niewoli!

Bartosiu, Bartosiu, oj nie traćma nadziei,
Bóg pobłogosławi — ojczyznę nam zbawi!...

Wrony konik w lot biega,
Głos się wodza rozlega — w las! itd.

W ranne godziny, gdy się same dziewczęta
zejdą, rozdaje im Ludmiła roboty do szycia,
przykrawuje i uczy każdą krawiecczynny. Wtedy
to mnóstwo główek o warkoczach, kwiatach i
wstążkach, składa jakby różnobarwny, żywy
wieniec, po nad którym góruje jasna główka
blondynka samejże nauczycielki. Bolesław zwykł
ją był nazywać kasztelanką.

Otóż, kasztelanka ułożyła raz teatr amatorski
z dzieci wiejskich, o którym w liście do autora
niniejszego rysu, tak się wyraża:

„...Nie byłabym się ośmieliła wzywać Pana
na dzień 15 maja, czyli raczej przypominać się
pamięci Jego, gdyby mnie nie zachęcało do tego
wspomnienie, żeś Pan życzył sobie poznać uczniów
i uczennice moje; żeś mnie zachęcał do wytrwa-
nia w mojej małej pracy, i że jesteś przyjacie-
lem ludu naszego. Więc może przyjemnym Ci
Panie będzie — myślałam — widok teatrzyku

i obrazów złożonych z dzieci wiejskich i zadowolenia ich rodziców (co jest niezaprzeczenie dowodem postępu i wzniesienia się umysłu, jako i serca tychże).

Jeszcze za życia ś. p. ojca mojego, protektora mej szkółki domowej, urządziłam raz taki teatr wiejski, a dwa razy żywe obrazy, i przekonałam się, że podobnego rodzaju widowiska najsilniej działają na ludu wyobraźnię, która u niego ma przewagę nad rozumem i sercem.

Treść moralna małej, ale narodowej komedyjki, tudzież obrazy z naszej świetnej przeszłości i męczeńskiej teraźniejszości wzięte, zrobiły wielkie na nim wrażenie; a opowiadania o tych widowiskach trwały długo, długo między ludem, ubarwiane jego własnymi dodatkami.

W innych wsiach może chłopci zgorszyli by się, żeby z ich dzieci jakieś komedje wyprawiać — lecz tu sami upominali się o częstsze takiego teatru urządzenia. Ja częściej niż raz lub dwa razy do roku nie mogę czegoś podobnego urządzić, bo i sama nie mam czasu i dzieci inne mają zajęcia — ale układałam sobie każdego roku w poście wyuczyć jakiej komedyjki te z dzieci, które przez jesienny i zimowy kurs nauk najlepiej sprawować się będą — a w maju zrobić im zawsze ową (jak nazywają) wielką uciechę, nim się szkołka rozpierzchnie do zatrudnień letnich.

Bóg inaczej rozrządził: śmierć ojca mojego i różne inne zmartwienia przygnębiły mnie tak bardzo na czas długi, że nie miałam sił ani chęci do rozrywek — dopiero tej zimy, otrząsnąwszy się trochę ze smutku, wzięłam się do dzieła.

Wybrawszy najstarszych uczniów moich, tych, co najpierwsi zaczęli do mnie uczęszczać, wyuczyłam ich sztuczki — pewnie Panu znanej — Anczyca: „Łobzowanie“. Jestto, podług mnie, najlepsza komedja ludowa ze śpiewkami. Uczylałam tylko w niedzielę po południu, aby dni powszednich na to nie marnować — minęło więc parę miesięcy, zanim mogliśmy wystąpić.

Przedstawienie miało miejsce w dzień św. Zofii (patronki mamy), w ogrodzie.

Najprzód odegrano komedijkę — poczem nastąpiły trzy żywe obrazy:

1. Polska — Ruś — Litwa.

2. Anioł uczący dziecię pod krzyżem modlić się za ojczyznę.

3. Św. Zofia z trzema córkami: Wiarą — Nadzieją i Miłością.

Miedzy odsłonami chór przed sceną nucił pieśni narodowe.

W czasie pierwszego obrazu śpiewało kilku starszych chłopców hymn na pamiątkę braterstwa Polski, Rusi i Litwy; — w czasie drugiego pieśń: Boże Ojczy!... a w czasie ostatniego

jedna z dziewcząt odczytała ustęp z poezyi Lenartowicza: „Żywot św. Zofii“.

Sądzić tych obrazów nie mogę, bo byłam za kulisami, to tylko wiem, że dziatki, które do tego wybrałam, były tak śliczne gdy je ustroiłam, iż sama przy ustawianiu ich zachwyciałam się temi myślącemi i wiele obiecującemi twarzyczkami — szczególnież oczy mają cudne.

Podczas teatru pełniłam rolę suflera, i miałam błogą chwilę, patrząc na one dzieci grające z życiem, zgrabnością, zrozumieniem ról swoich, więc z myślą i uczuciem. Pomyślałam o przeszłości, gdy nieśmiałe pierwszy raz do mnie na lekcye przyszły; porównałam z terażniejszością; i z otuchą spojrzałam w przyszłość!

Teatr sam przez się jest drobnostką — nie o niego mi idzie — ale o rozwój duchowy drzemających istotek“...

Podobne zajęcia należą do obowiązków polskich kobiet, które żyjąc między ludem, winny się niejako zrosnąć z tymże ludem. Wtedy tylko może nastąpić tak pożądane a zbawienne odrodzenie. Pannie Ludmile: Szczęść Boże!

Drzemające niegdyś istotki, a dziś rozbudzone — dzięki pracy i zabiegom młodej mistrzyni — umiały okazać się wdzięcznemi. Zebrany z nich orszak przedstawił się z powinnowaniem nowego roku (1868) swej dobrodziejce,

prowadząc na podarunek dla niej tłusciuchną jałówkę, ze złożonemi rogami, przybraną w girlandy — niosąc napisaną własnoręcznie odezwę, którą, jako akt uczuć włóściańskich, dosłownie przytaczam:

„Wielmożna, najłaskawsza i najszanowniejsza Panno Ludmiło Dobrodziejko!

My dziewczęta z H....., powodowane wdzięcznością za tyle łask i dobrodziejstw od Pani odebranych — przy zaczętych już Nowym Roku pospieszamy wspólnie złożyć Ci winne uszanowanie i życzenia wszelkich pomyślności: abyś w zdrowiu długie lata przepędzała w gronie, choć wiejskich nie wykształconych, ale serdecznie Cię kochających i uwielbiających dziewcząt.

Naturalnym rozumem poznajemy i oceniamy prace Twoje i starania około wykształcenia naszego podjęte — i dziękujemy Bogu, że mamy Panią pośród nas.

Wierzaj nam Panno Ludmiło! jakim smutkiem przejęte były serca nasze i rodziców naszych, gdy się losy ważyły o posiadanie i własność wsi H.....!

Nie byliśmy pewne, czy Pani chce nadal z nami pozostać, czy nie będzie zmuszoną opuścić nas....

Ach! byłabyś nas zostawiła w sieroctwie duchowem — łzy nasze nie ukoily by się nigdy —

lecz jakaż radość ogarnęła rodziców naszych i nas przy powziętej wiadomości, że zostałaś dziewczką i panią wsi naszej, i że chcesz żyć z nami i dzielić wspólnie dobre i złe dole.

Otóż za wiedzą rodziców, którzy przyklaskują życzeniom naszym, i ucieszyli się z wdzięczności, jaką pałamy ku Tobie, — ofiarujemy Ci dzisiaj podarunek (jałówkę) ze składek dziewcząt szkoły Twojej nabyty — który racz łaskawie przyjąć na wiązanie noworoczne, bo pochodzi ze szczerzego serca.

Nadewszystko błagamy Cię Panno Ludmiło! byś się od nas i nadal nie usuwała, lecz żebyś rugowała błędy, prostawała fałszywe pojęcia nasze — wszystko bowiem co dotąd umiemy, z łaski Pani.

Nie przykrz sobie przywarami naszymi, lecz prowadź nas naprzód do poznania Boga i ludzi; a chociażbyś od nas nie odebrała przynależnej wdzięczności i uznania, to oprócz szacunku, miłości i przywiązania, w sercu naszym rozpłomienionego, 'Twe własne sumienie, żeś wypełniła obowiązki prawej obywatelki, i Bóg miłości nagrodzą Tobie.

H. dnia 12 stycznia 1868.

Na zawsze Cię kochające, wierne i posłuszne dziewczęta szkoły:

(Następuje 33 podpisów).

Chwalić zbyt poświęcenie byłoby to ubliżać ważności zasługi. Najlepiej fakt sam za siebie przemawia. Nadmienić tu tylko muszę, że o ile w wychowaniu dzieci, a do tego dzieci kmiecych, i to nie w ciągu roku jednego ani dwóch, lecz lat wielu, podziwiam mozół i cierpliwość Ludmiły — o tyle potępiam złośliwe dowcipy pewnych dam, zdaniem których zajęcie się oświatą gminu nie jest rzeczą paniąską...

Czyż lepiej, jeśli panienka zatrudnia się czytaniem romansów, dziennikiem mód, zwierciadłem i tęsknotą za gościem?...

Rozstając się z okolicą Brzozowa, wspomnimy o znakomitym artyście: ś. p. Arturze Grottgerze. Niektóre szczegóły rzucające światło na żywot jego, szczegóły nader ciekawe, wyczytujemy w liście Ludmiły, pisanym do jej kuzynki — i dla tego ustęp ten podajemy Czytelnikowi:

„Musiałaś się zmartwić śmiercią Grottgera... jeniałnego i szlachetnego Grottgera — Benjamina matki Polski! godnego największej miłości tej matki i czci współbraci. Chyba na to poznałam go bliżej w roku zeszłym, aby go dzisiaj tem więcej opłakiwać.

Do obecnej chwili noszę w pamięci, w sercu, obrazy przeznaczone na wystawę, które nam

sam pokazywał we Lwowie, w domu narzeczonej swojej, ślicznej Wandy Monnaie. Niektóre były wykończone, inne naszkicowane dopiero, a już z lekkich zarysów wyzierał geniusz mistrza — głęboko czująca dusza młodego artysty.

Cierpi Ojczyzna — rodzina — cierpiemy my rodacy — a potrójnem cierpieniem cierpi biedna Wanda.

Przed ostatecznym wyjazdem ze Lwowa chciałam ją odwiedzić; — ciotka i matka nieszczęśliwej kryły przed nią zgon Artura, a ona już leżała od dni kilku złamana boleścią przeczucia, i w gorączce widziała ukochanego swego, konającego z wyciągniętymi ku niej rękoma, w samotnej izdebce — na obcej ziemi!

Ale, bo i jakże On był wart tej miłości! Od najmłodszych lat wspierał pracą swą matkę, siostrę i braci — a od dwóch lat podwoił pracę, aby sobie wyrobić utrzymanie i możność połączenia się z Wandą.

Tęsknota za krajem i narzeczoną wśród Paryża, którego nie lubił, ukrywany brak wszelkich funduszków, praca nad siły, złamały delikatne zdrowie jego. Sprzedane koronowanej głowie ostatnie arcydzieła dostarczyły mu przynajmniej funduszu na kurację — choć niestety już za późno!

Przyjaciół Artura, Marceli Krajewski, wywiózł go do Po, a gdy mu się tam pogorszyło, do

Amélie bails. Artur tak tęsknił za Wandą, iż ciągle chciał mieć od niej wiadomości — listy zaś jej zbyt go wzruszały — a więc telegrafami tylko rozmawiał z nią Krajewski.

Malarz Penter pragnąc Grottgerowi zrobić niespodziankę, malował portret Wandy; lecz jeszcze go nie skończył, kiedy przybył ostatni złowrogi telegram: „*Arthur est mort, preparez Wanda!*“

Biedna dziewczyna błagała Najwyższego, aby mu żyć choć do stycznia dozwolił, bo do tego czasu miała zebrać kwotę potrzebną na podróż do niego.

Biedne dziewczę otacza się pamiątkami po nim, obrazami jego. Co dzień przychodząc przynosił jej jakąś, choćby drobną pamiątkę; z Paryża zaś przysyłał świeże kwiatki i listy, jak kronikę z dnia każdego; a im dłużej się nie widzieli, tem wzrastało uczucie, bo kochali się sercem i fantazją. On poeta, artysta — ona piękna jak Wenus — oboje wszystko w sobie widzieli wzrokiem kochającej duszy i rozbijającej wyobraźni — więc tem piękniejszym, jaśniejszem... któż opisze doskonałość ich miłości?

Ludzie mówią: Ona piękna — młoda — żywa — utalentowana — zostanie malarką lub śpiewaczką, i wśród hołdów świata zapomni o narzeczonym; ale ja nie wierzę, żeby narzeczona Artura Grottgera zapomnieć o nim mogła. Ciałem

może jeszcze błyszczeć na ziemi będzie, ale serce tylko do niego należy!

Smutny dramat życia — smutna śmierć artysty! Za życia nazywano go lekkomyślnym — niestałym — trwonicielem — nie wspierano talentu jego — teraz dopiero przekonano się, że on zadłużał się dla braci, pracował w pocie czoła dla rodziny, a stałym być umiał jak rzadko który.

Dla niego lepiej, że zgasł! Był by bowiem dalej walczył z biedą i zawodami; a ludzie dalej by grzeszyli zapoznaniem i potwarzą. Tak zaś, już rozkosznie kołysze się w obłokach, przez ich błękity spogląda na Wandzię, jasnymi barwami tęcz maluje obrazy; tylko to go pewno boli — a bardzo boli! — że ciało jego spoczęło na obczyźnie, że grobu jego nie zroszą łzy ukochanych, nie obrzuci kwieciami dłoń oblubienicy!...

Lecz cóż ja tak długo śmiem się rozpisywać o Grottgerze... na co mu dziś mych pochwał nieudolnych? Dziś go już chwałą zdolniejsze pióra, dziś wielbią wszyscy, bo umarł!!“...

IV.

**Sanoczanka na Wystawie
paryzkiej (1867 r.)**

IV.

Bolesław spędzał jeszcze chwile w uroczym H., gdy nagle otrzymuje list od Celiny z Orelca — którą zwykł był nazywać Celiną z orlego gniazda. Otóż Celina pisze do niego:

„...Ileż to bym miała szczegółów do udzielenia i skorzystania z uwag pańskich nad niemi! Od ostatniej Jego bytności byłam w stolicy świata — w Paryżu; widziałam Wystawę, ojczynę sztuk pięknych, rzeczywisty wszechświat!... z wyjątkiem Wezuwiusza, Niagary i szczytów Himalaja... bo nawet katakumby Rzymu — świątynie Faraonów — meczety tureckie — domki galicyjskie — i pagody chińskie wznosiły się na placu Marsowym.

A interesujące poznanie naszych znakomitości: Bohdana Zaleskiego; Kraszewskiego; Grottgera; Matejki; Kremera; Seweryna Goszczyńskiego, poety-żołnierza; Chojeckiego, autora Alkadara!

Kraszewski z zajęciem dopytywał mi się o Pana.

Przy tej sposobności ośmielam się donieść o mojem znów szczęściu: Na dniu 24 stycznia

otrzymałam pismo od Najjaśniejszego Cesarza Austrii, że mój ekram, będący na Wystawie paryzkiej, przyjmuje, i jako dar wzajemny przysłał naszyjnik z imponującym medalionem, na którym cyfra N. P. Maryi brylancikami wysadzana — a wewnątrz na kości słoniowej wizerunek tej królowej nieba i naszej! Myśl piękna, jakiej się nie spodziewałam — pamiątka dla mnie droga, bo za pracę — a to najbardziej mnie cieszy, że cierniowa korona — kielich goryczy — Sobieski (wszystko to w płaskorzeźbie na ekramie), staną może jak *mane tekel faris* ucztę Baltazarowej w salach Burgu lub Schönbrunu widmem sumienia, i że w odwzajemnieniu N. Pan tak odpowiednio się zastosował do mych uczuć i przekonań“....

A teraz zapoznamy Czytelnika bliżej z Celiną z Orelca, choćby przez poczucie obowiązku, spisując wspomnienia z Galicyi, mianowicie z ziemi sanockiej.

Czasopismo illustrowane paryzkie, upoważnione przez komisję cesarską, p. t.: *L'Exposition universelle de 1867*, poświęca jej artykuł treści następującej:

„Szyby symboliczne Pani Celiny Dominikowskiej. Wystawa powszechna powinna była obejmować jeden wydział więcej, w celu pomieszczenia różnych prac, trudnych do rozgatkowania, jako przechodzących zakres zna-

nych rodzajów sztuki, a przynajmniej oznaczonych.

W tym wydziale specjalnym dzieła cierpliwości, wyroby ciekawe ręki ludzkiej, zajmujące wyjątki pracy, znalazłyby dla się stosowne miejsce, — a jestem pewien, iż ów nowy wydział wzbudził by tyle ciekawości ile współczucia.

Patrzył bym tam z radością na wielki rysunek p. Pedro Nin y Gonzalès, obywatela weneckiego, skreślony piórem; na ramy marmurowe barona Triqueti; na wyroby wycinane z drzewa, wystawione w wielkiej galeryi maszyn; — nakoniec, na szyby symboliczne p. Celiny.

I cóż to są w rzeczy samej owe szyby? do jakiej klasy mogą należeć? do jakiego rodzaju?.. Do żadnego.

Pani D. nie jest artystką w ścisłym znaczeniu tego wyrazu — nie jest ani rzeźbiarką, ani malarzką, ani rytowniczką. Pomimo to, jej dzieło zasługuje na pogląd publiczności, i chciałbym je widzieć we właściwym wydziale Wystawy.

Pani D., rodowita Polka, zamieszkuje okolice podgórze sanockiego w Galicyi austryackiej; tam to dla spędzenia użytecznie długich godzin samotności, poświęciła około dwóch lat pracy. Piłka i rylec były dla niej jedynymi narzędziami, — a dzięki czasowi, dzięki usilnem staraniom, wytrwałości, doszła nakoniec do ukończenia wytwornej, że tak powiem, płaskorzeźby.

Myśl przewodnicząca dyletantce zwraca więcej uwagi jak dzieło same. Czerpała natchnienie w żywocie Chrystusa dla scharakteryzowania głównych narodów europejskich -- i bez wątpienia wybrała w tekstach Pisma św. takie, które najlepiej znamionują te narody.

Dzieło całe składa się z sześciu szyb alegorycznych:

Niemcy uwydatnieni przez scenę z życia Jezusa, gdzie tenże jako dwunasto-letni młodzieniec, godzi kłucących się mędrców i filozofów w kościele jerozolimskim. Przedstawieniu tego obrazu towarzyszą słowa: „A zdumiewali się wszyscy, którzy go słuchali, rozumowi i odpowiedziom jego“. (Łukasz, II, 47).

Francya jest określoną wyrazami: „Jam jest światłość świata. Kto za mną idzie, nie chodzi w ciemnościach, ale będzie miał światłość żywota“. (Jan, VIII, 12). Słowa powyższe figurują pod obrazem przedstawiającym boskiego Przewodawcę strofującego Faryzeuszów przed kościołem jerozolimskim.

Anglicy nacechowani tekstem: „Któż jest ten Pan, któremu wiatry i burze posłusznemi są?“ (Job, XXVI, 12).

Włosi: Chrystus wręcza klucze św. Piotrowi, mówiąc: „A ja tobie powiadam, iżęś ty jest opoką, a na tej opoce zbuduję kościół mój, a bramy piekielne nie zwyciężą go“. (Mat. XVI, 18).

Co do Polaków, pani D. wyobraziła ich w rysach chrystusowskich w ogrodzie oliwnym, gdy Syn boży wymawia ze słodyczą i rezygnacją: „Ojcie mój! jeżeli nie może ten kielich odejść, jeno abym go pił, niech się stanie wola Twoja!“ (Mat. XXVI, 42).

Te rozmaite obrazy na szkle są ozdobione armaturą i stosowną rzeźbą z drzewa służącego za ramy; na każdej zaś szybie są nadto wyrzynane imiona wielkich ludzi, najwierniejszych przedstawicieli różnych epok narodów. I tak: W Niemczech: Karol V, Marya Teresa, Schiller, Humboldt; — we Francyi: Karol W. (Charlemagne), Napoleon, Joanna d'Arc, Montesquieu; — W Anglii: Elżbieta, Szekspir, Newton, Nelson; — we Włoszech: Leon X, Rafael, Dante, Michał Anioł; — w Polsce: Kopernik, Kościuszko, Jadwiga, Sobieski“.

Bolesław za przybyciem do Orelca z przyjemnością słuchał opowiadań Celiny o owej Wystawie powszechnej świata.

Wstąpiwszy — mówiła — na most Jena, nie wiedziałam, gdzie okiem najprzód rzucić. Za mną olbrzymi Paryż, Sekwana; przedemną pole Marsowe, a na niem Wystawa — wszechświat! Zaraz na wstępie ogrom przedmiotów uderzał: kościołek w gotyckim stylu — pawilon cesarski — latarnia morska z elektrycznem światłem — wodotrysk! W pośrodku placu, w owalnym kształ-

cie zbudowany z żelaza i szkła główny pałac Wystawy.

W około kawiarnie, restauracye różnych narodowości; naprzeciw sklepy z produktami i wyrobami rozmaitych krajów. Tu Algierczyk sprzedaje pantofle i koszyki, obok Turek fajki, Chińczyk porcelanę, Niemiec błyskotki, Hiszpan *alcarazza* (naczynia na wodę). Dalej słyhać dziką muzykę Afrykanów z Tunisu, łoskot maszyn będących w ruchu; — tam znowu pieczę ucho: cudowna melodia sławnego amerykańskiego fortepianu i wzniosłe religijne tony dzwonów (*carillon*). Na szklanej rurce przemysłowiec naśladuje wdzięczny śpiew słowika....

A przy tem wszystkiem ścisk, gwar, osób tysiące z różnych części świata, zmieszane języki murzynów, Japończyków, Arabów, Francuzów i Szkotów w narodowych strojach. Angielskie *yes! o yes!* — niemieckie *Herr Gott!* słyszeć się często daje. Ten woła: pójdźmy do Belgii! ów: zajrzyjmy do Stanów Zjednoczonych Ameryki!... tamten ciągnie przyjaciela do Egiptu. Z Egiptu idą dalej, aby zwiedzić — dno morskie!...

Pani Celina widziała na Wystawie i konie moskiewskie, wachała zapach dziegciu i słyszała nawet wykrzyknik — *sukin syn!*

Na widok wnętrza głównego pałacu zdumiała. Tam nagromadzone arcydzieła sztuk, przemysłu,

rzemiosł — szczyt potęgi umysłowej, postępu i piękna!

W gmachu zatrzymała się najprzód przed obrazem Matejki: „Upadek Polski“ i zadumała, jak Jeremiasz nad gruzami Jerozolimy. Musi to być — mówiła — dzieło jeniałne, skoro ogólne wrażenie sprawia; zawsze gromadzi się przed niem kilkadziesiąt osób pilnie mu się przypatrujących. — Przedstawienie charakterystyczne — tylko koloryt zdaje jej się być cokolwiek za jaskrawy. Do tej sceny zbrodni i bólu za odpowiedniejszy by uważała koloryt szkoły włoskiej, na wzór Rafaela lub Corregia.

Naprzeciw obrazu Matejki były umieszczone rysunki Grottgera: „Wojna“, oddające chwile z ostatniego powstania.

W upadku Polski Kaimy — w wojnie bohaterowie i męczennicy!...

Pani D. napatrzywszy się do woli na arcydzieła rodaków, nie zapomniała także przy sposobności odwiedzić i swojego ekranu o szybach symbolicznych; — utrudzona wręście ciągłym ruchem i wpatrywaniem się we wszystko, co ją najwięcej zajmowało na Wystawie, poszła spocząć do ogródka osady — Chińczyków. Prawdziwych Chińczyków! nie z porcelany, ale żywcem przywiezionych z Pekinu.

W tej osadzie, nietylko ludzie, lecz i drzewo budulcowe w kioskach, krzewy, rośliny i kwiaty,

plantacye herbaty, a nawet słoma dach pokrywająca i żwir, którym były wysypane ścieżki, wszystko rzeczywiście chińskie! Słowem, cesarstwo niebieskie w miniaturze, nieznane Chiny na bruku paryzkim — brakowało tylko tła nieba chińskiego; — zapomniałem dodać: i syna słońca z mandarynami.

Nasza dyletantka nasyciwszy umysł pięknościami Wschodu — jakkolwiek rozmarzona, poczuła apetyt do jedzenia. Ciało nie cierpi czerzości, trudno mu się karmić samą ambrozyą. Była to właśnie pora obiadowa — zaszła więc do restauracyi.

Tu nowa oryginalność! Wedle reguły chińskiej potrzeba było zacząć jedzenie od deseru, a kończyć na zupie — używać dwóch pałeczek zamiast widelca do mięsa, pokrajanego w drobne kawałki — posługiwać się cieniutkim papierem z jedwabiu, którego zapas leżał przed każdym gościem w miejsce serwety.

Zresztą Chińczycy jadają, podobnie jak i my, mięso, drób, ryby i jarzyny. Podają wprawdzie i pewne łakotki, jak n. p.: pletwy z rekina, owady smażone, główki wróble i gniazda jaskółcze, lecz te przysmaki, zwłaszcza ostatni, bardzo drogo kosztują.

Gniazdeczka, któremi traktują Chińczycy, nie są tego rodzaju, rozumie się, jak te, które jaskółki polskie przylepiają do ludzkich mieszkań;

gniazdeczka chinek są delikatniejsze. Znajdują się one tylko na wyspach archipelagu indyjskiego — składają się z piór, roślin morskich i słomy, sklejonych za pomocą gumy wydzielającej się ze śliny ptasiej, Klejowatość jej powstaje z pokarmu, jakim się jaskółka na morzu żywi.

Klejowatość ta będąc stwardniałą, choć zostanie oczyszczoną z piór i dźbła, zatrzymuje kształt gniazda. Gotują ją w wodzie z przyprawami, wtedy rozdziela się na włókna. Potrawa zatem, gdy ją na stół podadzą, podobną jest do rosółu z makaronem.

Smacznego apetytu!..

Ale wróćmy do Sanoczanki! Lubiła ona, jak to lubią zwykłe artyści, literaci i poeci, napić się po obiedzie dobrej kawki. Narkotyk mokki ma coś mile upajającego. Przyszła jej tedy myśl zajść po to do karawanseraju egipskiego, zwanego przez Arabów *okeł* albo *okela*. I nie mogła w samej rzeczy wybrać stosowniejszego miejsca. Na całej kuli ziemskiej lepszej jak tam, wonniejszej i podanej z większym przepychem, wdziękiem i okazałością mokki, pewnie by nie znalazła. Umieć połączyć użytek z poczuciem piękna — i to sztuka!

Wstęp swój do orientalnej kawiarni tak też opowiada:

Wniście tam nie przysługuje wszelkiej publiczności, lecz jest się dopuszczonym za przedstawieniem biletu od Edmunda Chojeckiego (znanego powszechnie przez Francuzów pod imieniem Charles-Edmond), bibliotekarza senatu, będącego zarazem komisarzem jeneralnym Wystawy ze strony wice-króla egipskiego.

Każdego wchodzącego przyjmuje z uprzejmością francuzką intendent zakładu i częstuje go kawą, fajką lub nargilą — bezpłatnie.

Wszystko, co otacza przybyłego gościa, nosi cechę wytworności egipskiej: sześciu służących Arabów, z cerą twarzy pargaminową, przybranych w czarne beduiny złotem wyszywane, w czerwonych i żółtych mesztach, przynoszą na przemian kawę w małych filiżaneczkach porcelanowych, wstawionych zalotnie w pewien rodzaj naczyń srebrnych filgranowych, używanych zamiast spodków.

Do kawy podają fajkę na długim cybuchu pokrytym merynosem, ściągniętym w fałdy w środku i na końcach, za pomocą pierścieni splecionych z nici złotych lub srebrnych.

U wierzchu cybucha bursztyn z podstawą jaspisową.

Podają także nargile, dla tych, co je wolą, zdobne rzeźbą, napełnione tytoniem aromatycznym.

Gdy gość nasyci się tem przyjęciem wschodniem, może wniść na piętro do apartamentu komisji wice-króla, gdzie w jednej z sal ujrzy przy ścianach za szkłem około pięciuset mumii głów dynastycznych. Pod temi znajdują się trumny, już to otwarte, już zamknięte, w których spoczywają całkowite mumje, jedne pokryte bielezną z przepaskami, drugie zupełnie nagie, przygotowane dla badaczy skamieniałości organicznych.

Jakże to bogaty zasób dla nauki!...



V.

Notatki Celiny.

V

Noted Copy

V.

Chcąc spisywać opowiadania Galicyjki o Wystawie, czynić nad tą ostatnią uwagi, postrzeżenia i wnioski, trzeba by zapełnić tomów kilka — co atoli nie jest zamiarem autora, jakkolwiek przedmiot obfity, wielki, godzien zdolnego pióra *pro publico bono*.

Szkic niniejszy: „Obrazy Galicyjskie“, ma obejmować postrzeżenia ex-wygnańców, po długiej ich nieobecności w kraju; — a ileż to zaiste jest przedmiotów kraj wprost obchodzących, i więcej niżli Wystawa paryzka? Zanim atoli do nich przystąpimy, nie od rzeczy będzie zamieścić tu notatkę Celiny, wyciąg z jej ogólnego poglądu na Wystawę:

Francya odznaczyła się wyrobami krzysztalów, biżuteryi, porcelany, gobelenów, sztucznych kwiatów, sukien, tudzież malarstwem.

Anglia wyrobami stalowemi, perfumami, maszynami rolniczemi i przemysłowemi.

Polska fotografiami z Warszawy, drzewem z Galicyi, owcami z ks. Poznańskiego.

Włochy rzeźbą i mozaiką.
Austria sztuką artyleryi i muzyką woj-
skową.

Węgry winem.

Belgia wyrobami glinianemi, koronkami.

Holandya serami i mleczarnią.

Szwajcarya serami i zegarkami.

Szwecya i Norwegia rybami, sieciami i
przedstawieniem narodowych ubiorów i figur.
(Jeden z Norwegczyków na widok figury sądził,
że rodaka spotyka, i przemówił do niej).

Niemcy cukrami z Kolonii, drukiem.

Prusy wzorem szkół.

Moskwa futrami i świecami cerkiewnemi.

Chiny herbatą, wyrobami z kości słoniowej,
porcelaną.

Japonia filgranowemi drobiazgami.

Turcyja tytoniem.

Egipt kawą, wyrobami filgranowemi ze złota
i srebra.

Indye kaszemirem.

Brazylia trzcinaą cukrową, bawełną, kau-
czu, itd.

Bolesław, chcąc użytecznie spędzić wolne od
zajęć chwile podczas pobytu w Orelcu, przeglądał
liczne zabytki starożytności, zebrane troskliwie

ręką Celiny. Bo trzeba wiedzieć, że i ona ma u siebie malutką wystawę — nie tak wielką jak paryzka, troszkę mniejszą, ale za to swojską. Są tam i pieniądze rzymskie z czasów Tytusa, Dioklecjana, Antoniusza — i medale z nowożytnych czasów, jak n. p. medal na pamiątkę zburzenia Bastylii — są i pierścienie historyczne — i kawałki sztandarów krzyżackich, jakobińskich, napoleońskich, Sobieskiego i Kościuszki.

Bożki też egipskie pocieszenie wyglądają z ozdobionej szafy — dalej widać wykopaną na Podolu galicyjskiem dawną broń słowiańską, w kształcie małego sierpa z krzemienia; siatkę rycerską, nadto 21 pieczęci Rządu Narodowego z ostatniego powstania naszego, pieczęci oryginalnych, rzędem ustawionych, wedle wielkości tychże. Największa opatrzona jest do koła napisem: „Rząd Narodowy. Organizator wojskowy okręgu Lwowskiego“ i t. d.

Lecz najbardziej uderzyły Bolesława ogromne pliki papierów, dających się ważyć na cetnary, pozwiązanych w rozmaite paki i paczki różnokolorowymi sznurkami, rozmaitych kształtów i rozmiarów — mólów siedlisko.

Wszystkie te zbiory są przeznaczone przez właścicielkę, na wypadek jej śmierci, do biblioteki Ossolińskich.

Bolesław miał ochotę przejrzeć je pierwiej od przeznaczonych Bibliotekarzy — nie czekał więc

na śmierć właścicielki; a otrzymawszy łaskawe pozwolenie, jął się do rozwiązywania, otrzepywania, odmuchiwania z kurzu i rozkładania zwitków — z religijną oględnością!

R o c z n i k i ż y w o t a ! ! Dwanaście ksiąg w ósemce — z zastrzeżeniem, że za życia autorki oglądać ich nie wolno.

Dyskretny Bolesław odłożył je więc na stronę.

Książka dla Polek! składająca się z części: Dwory na wsi — Bydło nierogaczna i drób — Ogrody — Lekarz domowy — Przepisy kucharskie.

Szacowne to dzieło, jako przechodzące zakres umiejętności Bolesława, także odłożono.

Nie zapominajki rodzinne! Zbiór pieśni narodowych z różnych epok, z rysunkami i wignetami.

Teka z rycinami, litografiami, fotografiami, wspomnieniami z podróży do Niemiec, Włoch i Węgier; z paczką kart wizytowych i autografów znakomości europejskich — a nawet pieczętek z kopertich listów; nadto: ze skrawkami materii z robronów matron polskich.

Paka rozmaitych listów, odezwo, ogłoszeń urzędowych, rewolucyjnych i prywatnych, wstecznych i postępowych, arystokratycznych i demokratycznych — słowem, kolejdoskop upłynionych czasów. Należą do niej książeczki z przysłowiami, dewizami, anekdotami, facecyami,

różnemi urywkami, zwrotkami, strofami i strofkami.

Wiązka brouillonu jeszcze nie przepisanego, mieszczącego notatki z powstania 1863—1864 r.

Notatki te, z całego inwentarza domu w Orlem Gnieździe, najwięcej zajęły Bolesława.

Spisane wedle dat chronologicznych, ręką kobiety, nie powodowanej ambicyą odznaczenia się w powstaniu, jakkolwiek przyjmującej w niem moralny udział — odkrywają wiele prawd, rzucając światło na smutne wypadki powstania.

Prawdy! prawdy! tak nam potrzeba — prawdy w najdrobniejszych szczegółach, z których na widowni publicznej żywota ludzi są utkane. Takie szczegóły zbiorowe, drobne na pozór, w wielu względach oświecić nas potrafią i posłużyć za historyczny materiał do uwydatnienia jednej epoki dziejów krajowych.

Dla badacza, drobnostki częstokroć więcej rzeczy wyłuszczają, niżeli spisane dokumenta i urzędowe świadectwa.

Puszczając w świat ułomek z notatek Celiny — osnowę następnych kilku rozdziałów — opuszczamy tylko ustępy dotyczące jej osoby, jej życia prywatnego, zostającego między nią a Bogiem, a mało mogące interesować ogół. Lękamy się stylu jej poprawiać, z wyjątkiem niezbędnej korekty — wszystko przez wzgląd na

prawdę — bo: „styl, to człowiek!“ powiedział Boileau.

Lecz pani Celinie przyszła coś fantazya znowu zwracać opowiadania swe na Wystawę paryzką — tak dalece jej dusza tam przemieszkuje.... Właśnie w tej chwili opisuje domki amerykańskie.

Choć to nie należy wprost do przedmiotu, niech nam wolno będzie uczynić tu jeszcze drobne zboczenie od głównego zadania naszego, przez wzgląd na użyteczność jego. Wspomnijmy tedy najprzód o domkach amerykańskich, a potem rozpatrzemy notatki.

VI.

Dom i szkoła amerykańska.

(Wspomnienie z Wystawy).

VI

Dom i szkoła amerykańska

(Wspomnienie z Wiatru)

VI.

Przejdźmy od starożytnych mumii, do nowego ładu — od zacofanego i zniewieściałego narodu Chińczyków, do młodej i czarstwej Ameryki.

W parku Wystawy powszechnej, pośród całego blasku roztaczającego się na placu marsowym, stały dwa skromne domki.

Publiczność nie zwracała na nie uwagi, omijała je, gdyż nie przedstawiały jej zaćmionemu zbyt kiem oku żadnych złocen, żadnych fryz i koronek strzyżonych z kamienia, czyli raczej z tektury; ani naśladownictwa kapryśnych arabesków, wspa niałych kolumn, granitowych sfinksów, tych świetnych zabytków upłynionych czasów.

Domki były architektury prostej, poziome na pozór, ale za to miały wysokie znaczenie moralne.

Stały one zdala od nagromadzonych bogactw i umarłych sztandarów dumy, jako symbol odrodzenia się świata, symbol tranzycyi, przejścia z jednej epoki do drugiej, jako jutrzienka przyszłości.

Jeden z nich był mieszkaniem kolonisty, — drugi szkołą amerykańską.

Lecz określenie takie jest ogólnikiem, najczęściej nie zrozumianym przez Europejczyków, zwłaszcza przez Polaków, z których rzadko który dotknął stopą amerykańskiego lądu.

Któż to jest więc ów kolonista? co to za szkoła amerykańska?... mimowolnie nastroczą się nie jednemu pytania.

Aby na nie odpowiedzieć, autor odseła, choć to nie jest w modzie, łaskawego Czytelnika do dawniejszych pism swoich *) — tu zaś po krótcie tylko o tem objaśni:

Kolonista jestto biedak, któremu trudno wyżyć w Europie, przenoszący się do lepszego świata. W interesie jego jest, aby miał jak najliczniejszą rodzinę — gdyż przyroda, jak wiadomo, wzbogaca człowieka rodziną — nasza cywilizacya tylko uważa ją za przyczynę ruiny. W Ameryce dzieci są czynnemi rękoma, gdy u nas jedynie gębami do karmienia....

Arystokracją w Ameryce jest arystokracya — pracy! Mylnie twierdzi ten, kto sądzi, że namiętność Amerykanina leży w dolarach, w złocie. Nie prawda! Namiętność jego leży w jak największym zarobku i wydatku. Słowa Prudhona,

*) Obacz: *Przechadzki po Ameryce* p. J. Gordona, u Behr'a w Berlinie, 1866. — *Podróż do Nowego Orleanu przez tegoż*, u Brockhaus'a w Lipsku, 1867.

że: „własność jest kradzieżą“ nie dadzą się do niego zastosować.

Do którego miejsca Stanów Zjednoczonych Ameryki udał by się emigrant, może być z góry pewnym dobrego przyjęcia. Sąsiedzi witają go z zapalem.

To nie tak, jak u nas!

Tam, każdy przybysz jest pomocą dla kolonii; im ona liczniejszą, tem więcej pomyślności w niej kwitnie. Gdzie się zgromadzi dwudziestu ludzi, przeprowadzają sobie drogi; gdzie ich jest stu, budują kolej żelazną. Osada zamienia się w miasteczko, a następnie w miasto; produkta są sprzedawane korzystnie, pomyślność się wzmacnia. Dla tego, bogaty czy biedny, emigrant jest zawsze pożądanym przybyszem.

Zresztą, cóż to szkodzi, że on biedny?...

Biedak otrzymuje darmo od rządu ziemię, potrzebuje ją tylko wykarczować.

Za przybyciem na tę ziemię niechaj jeno zaawiadomi sąsiadów, a znajdą się do niego o mil dwadzieścia, w celu pomożenia zbudowania domu nowemu obywatelowi.

Rozumie się, że ten ostatni powinien wprzód przygotować wszystkie belki do budowy.

Skoro jego chata wzniesioną zostanie szybko, jakby na skinienie różeczki czarnoksiężnika, przez zebranych w jednym dniu współobywateli, wtedy dopiero mówi im o stanie swojego worka. Jeśli

może, wyprawia im ucztę; jeśli nie, każdy z gości zostawia mu resztki spiżarni, którą przyniósł z sobą — a które zwykle tak są obfite, że przypominają biesiadę Chrystusową i wystarczyć mogą nowemu koloniście na kilka tygodni do wyżywienia się z rodziną....

Godnem jest uwagi, że w zbudowanym domu kolonista zaniedbuje przybić zamka do drzwi. Gdy udając się do pracy opuszcza mieszkanie, stawia po prostu przed drzwiami deskę, dla przeszkodzenia trzodzie do wnijscia, gdyż ludzi on się nie obawia. Złodziei nie ma w koloniach. Na cóż by mieli kraść? Każdy przechodzień niechaj tylko zażąda czego potrzebuje, a będzie mu dane. Jeśli głodny, nakarmią go gdzie wstąpi — jeśli spragniony, napoją — potrzebuje schronienia, ofiarują mu je.

Dla tego kradzież w koloniach bywa karana śmiercią — złoczyńca nie ma żadnego tłumaczenia, a na poszukiwanie go rzuca się cała gromada z okolicy — zawsze wytropionym i schwytanym zostanie. To też nadużycia kradzieży nader rzadko się przytrafiają w koloniach.

Widywałem często, jak statek parowy płynąc po rzece Ohio i Mississipi, wyładowywał rozmaite towary, zostawiając je nad brzegiem rzeki. Znajdowały się tam pudełka z tytoniem, cygarami, kawą, herbatą, cukrem, winem i t. d. Leżały przez dni kilku na miejscu opustoszonem, bez

żadnego dozoru, dopóki ten, do kogo były zaadresowane, nie przybył z kolonii, odległej częstokroć o mil kilka, w celu zabrania należącego do niego pakunku, będąc pewnym, że znajdzie go nienaruszonym.

Sposób budowania domu kolonisty jest względnym do klimatu, który tak jest różnym w Stanach Zjednoczonych, zważywszy ich obszar.

W stronie południowej stawiają dom na wyniesieniu i otaczają galeryą, aby go uczynić zarówno przyjemnym, jako i zabezpieczonym od powodzi i wężów.

Im dalej ku północy, tem budowa jest mocniejszą, zasłaniającą od wiatrów i zimna — zowią ją: *log-house*.

Zwierzęta domowe utrzymują się w parkach — pomimo to błądzą, gdzie im się podoba, po lesie lub stepie; strawa ich nie kosztuje nic właściciela. Piętnuje on zazwyczaj swe woły i konie, żeby je mógł znaleźć w razie potrzeby.

Kolonista na stepie otacza swój dom i podwórzec palisadą, w celu ubezpieczenia od pożaru, tak częstego, łąk amerykańskich.

Najpierwszem staraniem kolonisty jest zaopatrzyć się w trzodę nierogaciznę. Świnia dla niego jest zwierzęciem niezbędnem, jako posiadajacem w Ameryce przymioty, których nasze świnie ani wieprzki nie mają. Tam one jedzą, a w braku apetytu duszą wężów. Połcie ich słoniny

służą im za tarczę, chroniącą od zgubnych skutków ukąszenia gadziny.

Przejdźmy teraz do tworzenia się miasteczka: Miasteczko, czy miasto, bardzo prędko powstaje w Ameryce! Główną jego cechą jest — szkoła. Od chwili, jak kilka zaledwie domów stanęło na placu, musi być między niemi szkoła!...

Nader ciekawy przykład tego wzrostu bez granic miast Stanów Zjednoczonych, o którym Polakowi trudno mieć jasne wyobrażenie, a który częstokroć zdaje się być nieprawdopodobnym — nader ciekawy mój przykład przedstawia historia miasta Topeka, stolicy kantonu czyli Stanu Kansas.

Topeka obejmowało początkowo szkołę — kościółek — sklep korzenny — drukarnię i... jednego stałego mieszkańca. Razem pięć domów!

Jedyny mieszkaniec był li żonatym? czy miał dzieci? Niewiadomo. Dosyć, że pierwszą jego myślą było sprowadzić nauczyciela do szkoły — następnie pastora do kościoła — a potem wydawać gazetę.

Nic zabawniejszego nad sposób, jakim założoną została owa pamiętna gazeta! Założyciel jej pomagał sam redaktorowi; zdaje się, że była to dwoistość w jednej osobie. Nauczyciel i pastor

składali czcionki; a przybyły w końcu kupczyk do handlu dopełniał reszty. Słowem całe miasto wspólnymi siłami wydało dziennik. Następnie każdy go spokojnie czytał.

Niezaadługo wytknięto z Topeki drogę, po której, jako krótszej od innych, przebiegali pocztowi kurjerzy; — ogłoszono gazetę publicznie, znaleźli się w kraju prenumeratorowie — dopomogli do dźwignięcia stworzonego miasteczka, które, koniec końcem, zamieniło się z czasem w stolicę Kansas'u.

Godny zaprawdę podziwienia naród z powodu swej ufności w przyszłość! Nie czekał, dopokąd umysły ogółu będą przygotowane do zrozumienia i zrobienia czegoś.... Działać najprzód, a potem ukazać i podać do ocenienia ludzkości owoce pożytecznej pracy, w tem spoczywa cała siła Stanów Zjednoczonych!... Siła ta świat przeistoczy.

Obok mieszkania kolonisty, stał na Wystawie — jakeśmy już oznajmili — dom szkoły amerykańskiej, pochodzący ze Stanu Illinois. Był to model tych szkół, które zowią się w języku krajowców: *Free common school* (wolna ludowa szkoła) — i bezpłatna.

Istnieje mnóstwo w Ameryce podobnych szkółek, nie przeszkadzają one atoli w niczem kolegiom płatnem i innym prywatnym Zakładom. Tam nauka wszędzie kwitnie.

Szkoła wolna miast mniejszych składa się zazwyczaj z jednej sali, gdzie się także odbywają zgromadzenia polityczne, wybory posłów, odczyty, *meetingi* i t. p.

Ażeby dać pojęcie o edukacyi amerykańskiej, weźmiemy ku pomocy wykaz statystyczny. Kto nie dowierza słowom, niechaj się wesprze na wymownych cyfrach. Są one niejako godłem obecnego wieku. Zdawałoby się, że świat cały zamienił się w cyfrę.

I tak:

Stan Illinois w r. 1864 liczył:

Mieszkańców	2,250,000
Z tych: osób od 5—21 lat wieku	1,049,354
Szkół bezpłatnych	10,211
Uczniów	573,976
Profesorów	6,533
Profesorek	9,539
Szkół płatnych	688
Uczniów	29,319
Pensye profesorów i profesorek w o- góle — dolarów	1,611,003
Koszta na utrzymanie szkół — dol.	2,460,510
Dzieci mogących chodzić do szkoły	700,458
Chodzących	573,976

Tablica powyższa pobudza do zastanowienia się i przedstawi w rezultacie, że wszystkie dzieci Stanu Illinois otrzymują nauki.

Bo w rzeczy samej: z 700,458 dziatek będących w wieku uczęszczania do szkoły, 573,976 chodzi do szkół bezpłatnych; — 29,319 znajduje się w Zakładach prywatnych. Dodawszy do całkowitej liczby ilość pobierających wychowanie domowe, tudzież chorych, a cyfra 700,000 należycie wypełnioną zostanie.

Wypada nadto z powyższej tabeli (licząc dolar po 8 złp.), że jeden kanton czyli Stan Illinois wydaje rocznie na edukację początkową sumę 32,572,104 złp.

Ludność Illinois wynosi około 2,000,000 dusz.

Pytam się teraz, który z narodów europejskich, nawet o kilkudziesięciu milionach ludności, wykazuje budżet na wychowanie publiczne, większy od budżetu jednego z dwudziestu trzech kantonów Stanów Zjednoczonych?

Bez wątpienia, żaden!

Nie dziw więc, że w Ameryce po ludziach dzielnych, dzielniejsi muszą następować; bo tam szkoła jest punktem środkowym, jako słońce, około którego kojarzy się wszystko!... W starej zaś Europie pieniądze potrzebniejsze na inne, do obalamucenia umysłów pomagające, wydatki!...

32,572,104 złp.! wydaje na szkoły początkowe jeden kanton Illinois o 2,000,000 mieszkańców,

gdy n. p.: cała Austria o 36 milionach ludności wydaje na umiejętności, sztuki i szkoły w ogóle zaledwie 12,000,000 złp., z czego na Galicyą przypada tylko około 2,000,000 złp., chociaż Galicya mieści w sobie ludność przeszło dwa razy większą od ludności kantonu Illinois.

Za to w Austrii koszta na opłatę samych procentów od długu Państwa wynoszą bajeczną sumę 600,000,000 złp.! Wydatek zupełnie nie produkcyjny, martwy, ujemny, bo pochłaniający niemal $\frac{1}{3}$ część całych dochodów Państwa, na zaspokojenie lichwiarzy krajowych.

Ciekawą by zaiste była historia obrotu owych miliardów długu, od którego Państwo 600,000,000 złp. rocznego procentu opłacać musi!

A gdyby też te pieniądze użyć na podniesienie rolnictwa, przemysłu, handlu, sztuk i rzemiosł, kto wie, czy Austria nie zamieniłaby się w ówczas w krainę mlekiem i miodem płynącą!?

VII.

**Ruchy w Galicyi. Strofka
Kornela Ujejskiego.**

VII.

„Święta miłości kochanej Ojczyzny!
Czują cię tylko umysły pocziwe;
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta, niezelżywe“.

Dnia 1 lutego 1863. We wtorek, wróciwszy mój mąż z Liska, przywozi wiadomość, że w Królestwie polskim wybuchło powstanie. Do łez się wzruszyłam; ale więcej to były łzy smutku, bo nie wierzę w dobry koniec. Rząd Narodowy liczy na interwencyę i przyłączenie się ludu — w tem się zawiedzie; będą tylko nowe ofiary i klęski — a korzyść tę chyba osiągniemy, że znak życia narodowego damy.

Dnia 11 lutego. Każden dzień przynosi nowe wiadomości o nowych walkach, o rozszerzającym się powstaniu — nadzieją żyjemy — bo któżby w pomyślność rad nie wierzył! Jeźdź tylko na pocztę — a zresztą nigdzie nie bywam,

prócz w kościele i na grobie najdroższej mamy — aby prosić Najwyższego za jej duszę, i aby mi wynagrodził najboleśniejszą stratę wybawieniem matki ojczyzny.

Dnie schodzą mi na gospodarskich zwykłych zajęciach i pisaniu książki gospodarskiej p. t.: „Książka dla Polek“. W przedmowie wypowiadam potrzebę takiej książki, zawierającej w skróceniu wszystkie obowiązki gospodyń wiejskich, i dedykuję ją zakładom naukowym płci żeńskiej w Krakowie i Lwowie; bo do dzisiaj uczą tam tylko po włosku, angielsku, francuzku, niemiecku, grać na fortepianie, śpiewać i tańcować, wykładają historię literatury, a z najpraktyczniejszej strony zaniedbują kształcić.

Pod niebytność mego męża, otrzymuję list nagły, następującej treści:

Kochany Kajetanie!

„Dowiaduję się o Waszym zamiarze we czwartek.... Ja, gdyby nie głupie zrządzenie losu, już byłbym w sobotę to samo zrobił.... Wzywam Cię na wszystkie obowiązki, nie zapomnij o mnie, gdyż z Wami radbym się przyczynić.... Sam nie mogę, bo jestem wyczerpnięty, bez grosza; a przy Was, byle do celu! Znasz mnie — wszak byłem pierwszym, jakeś tu był u mnie, który Ci tę pewnoś dałem, i podaniem ręki przyrzekliśmy sobie.... Teraz na Ciebie kolej

wywzajemnienia się. Jeżeli tylko możesz, zaklinam Cię na wszelkie obowiązki, staraj się mnie odwiedzić przed przyszłym czwartkiem, albo w sam czwartek. Przekleństwo, jeśli o mnie zapomnisz! Twój X.“

Jest to próbka krzykacza, jakich wielu było w tych czasach — bo w końcu dał się sam złapać władzy rządowej, ażeby z honorem wycofać się od nieprzyłączenia do partyzantów.

Dnia 20 lutego. Między młodzieżą ruch u nas ogromny, zjazdy się odbywają, rezonują najwięcej; ale z wyruszeniem się wstrzymują. Podług mego zdania, powinni byli wszyscy pospieszyć na pierwszą wiadomość o powstaniu, na pierwsze hasło.

Niektórzy panowie chodzą umundorowani — wszystko szare — pasy szerokie — czapki czworograniaste z blachami, chronić mającemi czaszki od cięcia pałaszy!? — Rewolwery, sztucce, szerpentyny! To smutnie, że więcej hałasu, słów, krzyku, jak czynu. Są i wyjątkowi z prawdziwym, szalonem nawet czasem poświęceniem — jak np. między 40 przytrzymanymi, co ze Lwowa wychodzili: jeden trzynastoletni ochotnik. Zwróciło to uwagę gubernatora Mensdorf'a — zapytuje go: „a dla czego ty idziesz?“ Chłopczyna na

to: „a kiedy by oni na mnie nie czekali, nim ja wyrosnę“.

Że jedna z najgłówniejszych broni dzisiejszych partyzantów jest rewolwer, kursuje śmieszna anekdotka: Pewna żydówka swemu ukochanemu wymawiała, że tylko raz ją pocałował. Na co on jej: „Ny, co chcesz? wszak ja nie rewolwer“.

Przejażdżka do Lwowa. W willę wyjazdu naszego do Lwowa, nadjechali M. z Y. — jak się wyrazili: w misyi, ale przedemną tajemniczej. Skoro się dopytywać zaczęłam, żartem odpowiedzieli: „w misyi formowania pułku amazezonek“, a po kątach z Kajetanem szeptali do siebie. W kwadrans wyruszył posłaniec za innymi panami — kiedy zaś przy herbacie siedzieliśmy, słuchając opowiadania barona Y., byłego oficera od huzarów austryackich, który w 1848 r. ze swymi żołnierzami przeszedł na stronę Węgrów, a potem z końcem kampanii, przez szczęśliwą kapitulację Klapki w Komornie, uszedł śmierci — nadjeżdżają oczekiwani. Rozmowy zaczęły się głośniejsze, a po odjeździe barona i otwarsze, na których zakończenie musiałam zagrać czapstrzyka i marsza. W końcu dowiedziałam się znaczenia misyi. Były to dwa rozkazy od władzy

narodowej: jeden względem wybierania od obywateli podatku, w stosunku $\frac{1}{4}$ do stopy podatku rządowego; — drugie rozporządzenie tyczyło się wyboru obywateli do egzekwowania i poboru wypłaty.

Ustawa bardzo praktyczna; bo drogą dobrowolnych składek nigdy by się celu nie osiągnęło — a do prowadzenia dobrego wojny, Montecucculi wyrzekł: potrzeba trzech rzeczy — pieniędzy, pieniędzy i jeszcze pieniędzy!

W Przemyśle ruch także czasowy — wieści rozmaitych pełno, najwięcej bajek, jak ta n. p. że w Petersburgu wybuchła rewolucja!...

We Lwowie poszłam do państwa O. — tam wiadomości, jak wszędzie, rozmaite — ale co smutne, że i różne potworzyły się partye. Z najgłówniejszych, tak zwane białych i czerwonych czyli arystokracja i ulica. I tak: hrabina B. z drugą do siebie podobną, miały przezwąć teraźniejsze powstanie lokajską rewolucją.

Dowiedziałam się, że i kobiety mają związany komitet z godłem na pieczęci: Boże dopomóż! że pieniądze składają i za te kupują płótno; szyją koszule i szarpie skubią; że oprócz tego mnóstwo jest loteryi fantowych na różne cele. Właśnie na jedną wzięłam bilet. Loteryę tę, urządzoną przez organ arystokratyczny, przeznaczono na pomnożenie funduszu restauracyi kościoła farnego w Żółkwi i umieszczonych

w nim pamiątek narodowych. Jestże to na czasie?...

Idąc do hotelu, zdybuję się z pannami G.... Pierwsze mnie zaczepiają. Znajomość taka ze wsi bardzo przyjemna! zwłaszcza, gdy one wesole, mowne i zapalone patryotki. O jednej doszła mnie dawniej pogłoska, że ją we Lwowie zowią wściekłą Polką. Skoro jej powiedziałam, że tego wieczora pójdę na loteryę na fundusz pomników w Żółkwi, zakrzyczała: „A po cóż to tam masz wyrzucać pieniądze na umarłych? lepiej dla żywych! co idą walczyć za niepodległość naszą“. I zaprosiła na niedzielę do siebie, z kąd mieliśmy się udać na loteryę prywatną— bilet po 10 centów — z celem dla ochotników!...

Korzystając z biletu dawniej kupionego, poszłam najprzód na loteryę arystokratyczną. Ujrzałam się w oświeconych salonach z błyszczącemi stołami od prześlicznych i kosztownych fantów. Weszłam pierwsza — kręciło się tylko parę mężczyzn i jedna z dam zawiadujących. Cała krema lwowska miała się zjawić. Strój już tej jednej pani niepokoił mię: był kompletnie salonowy — ja zaś w salopie i kapeluszu — do tego suknia ugarnirowana nieco u spodu błotem z ulicy.

W rzeczywistości, co do moralnego znaczenia, należą do partyi przezwaney ulicą, i to mi dodało odwagi! Zasady powinny się cenić, a

nie powierzchowność; gdyż tak się ma strój do człowieka, jak koperta do listu. Już to suknia powinna była być nie powalana — ale cóż? żałowałam pieniędzy na dorózkę, nie mając ich do zbytku — w stroje zaś wielkie nigdy się nie bawię.

Chociaż przypuszczeni byli do zajęcia się loteryą i członkowie partji demokratycznej, jednakże ułożenie stołów nie psuło hierarchii. Stoliki książęce i hrabskie stały powyżej, bliżej ku drzwiom szlacheckie, a najostatniejsze pań z miasta.

W godzinę salon zaczął się napełniać towarzystwem wyższem: noblesą. Jedno tylko odpowiednie do teraźniejszych czasów było zachowane: kolor czarny i biały w ubiorach. Słusznie któryś z francuzkich pisarzy wyrzekł: dzisiaj tam granica Polski, gdzie się kończy żałoba! Ale z drugiej strony, strój wszystkich był europejski — fraki i surduty — kontusza żadnego — ledwo kilka czamarek — i rozmowy francuzko-polskie, jakby żadnego z tych języków dobrze nie umiano....

Wczoraj byłam na drugiej loteryi, prywatnej:

Tu nie salony błyszczące! lecz pokoiki małe. W środku jednego stół długi — na nim ustawione rozmaite drobiazgi, fanciki. Przy nim po jednej stronie trzy panienki ze szklannemi przed sobą salaterkami, napełnionemi kartkami zwi-

niętymi w skrętki, próżnemi, i z numerami wygrywającymi. Po drugiej stronie trzech młodzi ludzie ze spisami wygranych fantów, które rozdawali.

Oprócz naszego towarzystwa z kilkunastu osób, do 30 innych, już to przybyłych, już przybywających, zapełniało komnatę; — a wszystko po największej części młodzież szczerą, polską, prawdziwą. Tu i pomówić było przyjemniej, bo się rozumieliśmy wszyscy, bo wszyscy jedno i toż samo czuliśmy.

To też jeden z panów, wygrawszy haftowanego orła białego, tudzież fant z godłem nadziei i wiary, wykrzyknął: O! jakaż to stosowna wygrana — będę walczył z nadzieją i wiarą pod znakiem orła białego. — I zapal cały odbił się w rysach jego oblicza.

Dla dostania odezw z komitetu czerwonego, udałam się do redaktora D..... Dość, niestety, słuszne usłyszałam tam zarzuty przeciw naszej szlachcie i jej obojętności, i dostałam kilkanaście odezw dla rozpowszechnienia.

Kornel Ujejski. Opuszczając Lwów, w dworcu zwrócił moją uwagę przechadzający się nasz poeta Kornel Ujejski z literatem W. Ludzie pierwsi w kraju! jak ich mianowałam; bo

to ludzie siły moralnej, ludzie ducha. Kajetan się ze mną spierał utrzymując, że ci, co walczą bronią, mają więcej zasługi. Ja przeciwnie: pierwszeństwo przypisywałam wieszczom. Orężem zwalczyć można kilku, kilkunastu — gdy ludzie ducha wpływają słowem na miliony!...

Pomimo najlepszej chęci, nie mogliśmy wsiąść razem z poetą w *coupé*. O! ile to by było dla mnie przyjemności, nauki; ale przypadek zrząda, że poeta jest ze swym towarzyszem w przybocznem siedzeniu — tak, że oni nasze, my ich rozmowy słyszeć możemy.

Ze współpodróżnych zwracających uwagę był Włoch, śpiewak, przejeżdżający z Odessy do Paryża. Z tym tylko prowadziłam rozmowę po włosku — z początku leniwo — ale napomknąwszy o Garibaldi, ożywiła się konwersacya i widocznie zajęła mego towarzysza. Wypowiedziałam mu, gdy się zgadało o naszym ruchu, że Kaprera powinna stać się dla nas Mekką — świętą Częstochową — że powinniśmy wezwać Garibaldeggo, jako nam najpotrzebniejszego w tej chwili. A czyż i dla niego nie było by to szczytnem posłannictwem?! mówiłam.

Czy w skutek tej gawędy, którą mógł słyszeć Ujejski, dość, że wysiadłszy z wagonu w Przemyśle, zbliża się do mnie: „Na stacyi w Medyce poznałem panią — rzecz — i ze wstydem, daruje pani, teraz dopiero z długu się uiszcza”. A na

to podaje mi złożony papier, na którym wypisany był wiersz do albumu, o który prosiłam go przed rokiem. Ukłonił się i znikł pośród tłumu.

Gorączkowo rozłożyłam zwitek — mieścił on, już znaną mi odezwę — a na odwrotnej stronie ołówkiem skreślone słowa:

O! dawna wezwany,
W przelocie zdybany,
Ach! cudnem ja słowem dług płacę:
Polska zmartwychwstała!
Polska zmartwychwstała....
Ten wykrzyk dziś stoi bez rymu.

(podp.) Kornel Ujejski,

w wagonie pod Przemyślem, 3 marca 1863.

Jak wiersz ostatni, tak i odezwa, to upomnienie dla szlachty, że się wszystko do powstania nie przyłącza — upomnienie od apostoła-poety.

VIII.

**Manifestacye religijne. Typy
powstańców.**

VIII.

Dnia 5 maja 1863. Na wieczór dostaliśmy gości: pana J. z baronem Bronickim, a raczej ze Slaskim, który jako powstaniec, a był profesor w Galicyi, musi się pod pseudonimem ukrywać. U nas jest tymczasowa jego kwatera, z czegom bardzo zadowolona; bo mowny, wykształcony, interesujący jako ochotnik, jako człowiek charakteru i poświęcenia. Przebija się w nim niepokój i wyczekiwanie chwili powołania. On by rad jak najprędzej! Wyznaje, że idzie aby zginął — pragnie tylko śmierci.... na polu sławy za braci i ojczyznę — co stwierdzają i ci, którzy go widzieli walczącego w oddziale Czechowskiego, gdzie miał się bić z szaloną odwagą — wszędzie najpierwszy, jakoby szukał kuli, żeby go zgładziła. Zdaje się, że nietylko sama miłość ojczyzny była do tego bodźcem, ale i jakieś inne, zawiedzione uczucie....

Najwięcej zajmujące z jego opowiadań, są ustępy z dziewięciodniowej wyprawy w lubelskie, o nazwach dzisiejszych powstańczych: ucieki-

nierów, wyczekinierów i pozostań-
ców!... Raczył wpisać mi do zbioru poezye
własnego utworu, przypisaną jednemu z naszych
braci, zakochanemu i wahającemu się wyruszyć
powtórnie z oddziałem:

On został — i czemuż? wszak tamci pobiegli
Z ochotą — z zapalem — na trudy i boje —
I jedni się biją — a drudzy polegli,
Bo czemuż Polakom są trudy i znoje,
Gdy woła ojczyzna, a polska Królowa
W niebiosach, dla dzielnych nagrodę tam chowa!

* * *

On został — i czemuż? on może się kocha...
I chciałby pozyskać to serce tak miłe —
I chciałby się żenić? lecz któraż tak płocha,
Że pierwej nie skryje swe serce w mogilę,
Niż odda je temu, co los go ten czeka,
Że w oczy, bez wstydu, nie spojrzy człowieka?...

* * *

On pójdzie! bo polska krew czysta w nim płynie,
A Polak od wieków ma umysł tak hardy,
Że wszystko porzuci — a nawet i zginie,
Nim da się zhańbić uśmiechem pogardy!
I prędzej przeniesie męczarnie i blizny,
Nim stanie się synem wyrodnym Ojczyzny.

Dnia 17 maja. Wyjechałam z domu do
Haczowa, w celu obejrzenia sztandaru, który
Sanoczanki przygotowały do mającej nastąpić

wyprawy na Wołyń. Kosztowna, ładnie zrobiona, ale nie odpowiednia i nie praktyczna. Jedwabna, biała, w środku ma Matkę Boską Częstochowską wymalowaną olejno, ze złotą rozetą do koła; — poniżej w niebieskiem polu napis złoty: Miej nas w Swojej opiece! W około frendzla amarantowa — po nad nią napisy: „O! my tak długo cierpiemy już — niewoli naszej okowy skrusz. Rok 1863“. Po drugiej stronie chorągwi herby Korony i Litwy — tudzież wiele innych ozdób i napisów.

Jedwab, pęta i złoto za kosztowne — lepiej było za te pieniądze sztucców nakupić — a sztandar wojenny z merynosu lub płótna uszyć — i to czarny z białym krzyżem, tudzież z herbami Korony, Litwy i Rusi — a napis dać: za wiarę i wolność śmierć lub zwycięstwo.

Dnia 27 maja. Nasi panowie młodzi wrócili z wyprawy, ale krótkiem powtórnem niepowodzeniem oddziału zdekoncertowani. Kto wie, czy ta niechęć nie rozpowszechni się — bo massy nie powstaną — interwencya nie nastąpi — siły zaś narodowe mamy za małe, żeby caryzmowi się oparły. Mniemałabym, że o oświatę i byt materialny powinniśmy się raczej starać, niż robić rewolucyę. Dojrzałość narodu wy-

maga wytrwałości i pracy wiekowej — Polacy od ostatniego podziału 1792 r. ileż bezużytecznych spisków i wybuchów nie uczynili!...

Dla dzisiejszych partyzantów mam łzę żalu — to więcej jak bohaterowie! to męczennicy! Właśnie nasz dobry znajomy, Henryk Walter, przezwany Mopier, zabiwszy czterech Moskali, usunął się, otrzymawszy jedno pchnięcie bagnetem wzęby, z których dwa postradał — drugie pchnięcie w piersi, a trzecie w rękę — i tak bez opatrzenia ran odbył 36 godzinny marsz o głodzie i wśród niewygód odwrotu.

Dnia 3 lipca. Tydzień temu, jeździłam do Sanoka na nabożeństwo za poległych. Przyjechawszy, pospieszyłam do kościoła. W pośrodku był wzniesiony katafalk, ubrany w wieńce dębowe — u góry na trumnie krakuska ponsowa, broń różna i kielich — znamiona poległych. Nad tem wszystkim wisiał orzeł biały w wieńcu z rozpiętymi skrzydłami. Nabożnymi przepełniony był kościół. Wszystko co nasze w żałobie — panowie niektórzy w narodowych strojach i kołpakach — i chłopów kilkunastu nawet było...

Mowę miał ksiądz miejscowy — o ile zapamiętam, następującej treści:

„Zgromadziliśmy się, aby się pomodlić za poległych, okrutnie pomordowanych, spalonych, żywcem zakopanych, powieszonych braci naszych w Królestwie polskiem, na Litwie, Rusi, Ukrainie, Podolu i Żmudzi. Modlić się nad tymi, którzy polegli śmiercią męczeńską w obronie religii i ojczyzny nikt nam zabronić nie może. To naszym obowiązkiem! Zbrodnią by było, gdybyśmy tego nie uczynili. Wszak oni są krwią z krwi naszej, kością z kości naszej“.

Na zakończenie, przy akompaniamencie fis-harmoniki, wzniósł się hymn uroczysty: „Boże Ojcze! twoje dzieci“...

Z wawrzynów dębowych uszczknęłam odchodząc kilka listków i wyszłam do miasta w celu zwiedzenia sanockiego zamku, mieszkania królowej Bony.

Z krużganków zachwycalam się czarownym widokiem wijącego się Sanu pośród gór i pagórków rozciągających się w oddaleniu. O! jakże tam miło było podumać, przenosząc się myślą w ubiegłe wieki. Niechaj wszystko wróci, byle nie kasztelaństwa, województwa, nie stan możnowładców, którzy przyczynili się do naszej zguby!...

Podziwiałam u wnijscia olbrzymi jesion, z czasów Bony, i charakteryzujący ją. Wszak to nie nasza rozłożysta lipa, ani dąb wspaniały!?...

Dnia 22 lipca. Będąc w górach poznałam w pewnym obywatelskim domu powstańca Chojnackiego, ze szkoły w Cuneo. Zagadkowa figura, z nazwiskiem przybranem — jak tam panie utrzymywały: i książątko i pułkownik, który miał chustkę z mitrą, i przebył wszystkie potyczki pod Langiewiczem — pod wszystkimi dowódcami — we wszystkich oddziałach. A do tego nie ranny, ani zadraśnięty — tylko cierpiący na piersi, biedniatko! jak się wyraziła pani Józefowa.

Śmiałam się z ich zbytnej atencji dla młodego człowieka, rażącego ogromnie sposobem swego zachowania się; bo śmiały, arogant, nadskakujący kobietom za wiele. To nie na powstańca! a tem mniej na wielkiego człowieka.

Na przykład: nie miałam ochoty do śpiewu, bo to trudno — głos od usposobienia zależy. Proszą wszystkie panie — nie słucham. Proszą mężczyźni — odmawiam. W tem występuje książątko z tryumfującą miną i odzywa się: Ależ ja proszę panią — juściż mnie pani nie odmówi! — A to dla czego? odpowiedziałam — czy dla tego, że pan powstaniec? Dla takich mam patrony, szarpie, — śpiewać zaś, skoro dla dam nie chciałam, to dla nikogo nie będę.

Pan pułkownik widać się obraził, bo na odjeźdnem ani mi się skłonił; — pani Józefowa zgorszona wraz z innemi, zawołała: Ach! dla

powstańca nie byłabym w stanie nic odmówić — co zażąda wszystko zrobić powinnyśmy. Czy literalnie wszystko? zapytałam. Ona kiwnęła głową. Wtedy pomyślałam: kochajmy raczej ojczyznę jako Spartanki, i czyńmy to tylko, co godności nie ubliża.

Egzaltowana pani Józefowa opowiadała o sobie, że będąc w Krakowie, poszła do szpitala rannych. Dozorcy zapytują się, czy męża, czy syna, czy brata chce odwiedzić? Ona im na to: ja wszystkim chcę widzieć, uściskać, powitać, bo to moje dzieci — i wycałowała rzeczywiście każdego i każdemu nadawała konfitur i pomarańcz.

Dnia 21 sierpnia. Wielka niespodzianka!... Na zjeździe postrzegam dawnego znajomego, barona, czyli po prostu Slaskiego, poetę-żołnierza, już w randze majora — w około niego obywateli powstańców — chociaż i damy nie odstępowały go, jak gdyby do jego sztabu należały.

Major stłuczony z wywrotu w podróży, zmuszony na kuli się opierać, zajmując spoczywał na poduszkach, na pierwszym miejscu.

Nie podpada wątpliwości, że Slaski poświęceniem się dla sprawy i odwagą zasłużył na powszechny szacunek — ależ ta adoracja pań, to egzaltacja, to romanse, nie patryotyzm!

Sam zacny major powtarza jak jemu, niby to cierpiącemu, leżącemu na sofie, gospodyni domu dozwalała się apostrofować: Obywatelko! podaj mi wody — obywatelko! nalej mi soku — obywatelko! muchy mi dokuczają. To znowu, jak nudzącą się damę N. N. bez towarzystwa mężczyzn pani domu chcąc rozerwać, wzywa męża, następnie majora, aby ją bawili.² Major, jako cierpiący, po naleganiu odpowiada: kiedy inaczej nie może być, że tak rzekę, a no! to dajcie mi ją tu.

Jak te panie nie z prawdziwym szacunkiem są dla majora, tak też i on dla nich.

Dnia 27 sierpnia. Interesujące prowadzono rozmowy o szczegółach teraźniejszych wypraw, jak n. p. pewien mój sąsiad o sobie, że w jednej potyczce wyrzekł do swego kolegi, przytaczając słowa Zygmunta Padlewskiego: O! jak słodko za ojczyznę umrzeć — i dodał: „ale djabie ciężko!“... Drudzy znając sąsiada przyzwyczajonego do wygódek, to powiedzenie tak przerobili: O! jak słodko za ojczyznę umrzeć — nie prawdaż Bolku? ale lepiej w łóżku.

W tem samem towarzystwie obywatel Max, mówiąc o kuzynie swoim, jenerale Jeziorańskim, przytoczył, że taki zarozumiały, iż skoro Rząd

Narodowy wydał rozporządzenie, aby przy dowódcach byli komisarze rządowi do kontrolowania, wyrazić się miał, iż się temu nie podda, bo gdyby wiedział że jego czapce wiadome są jego plany, toby ją spalił.

Nabożeństwo żałobne 9' września. Po południu wyruszyliśmy; jednym wózkiem pani J. z Bronisławą; drugim ja z Kajetanem; w środku nas wielki krzyż dębowy, z umocowaną stosownie cierniową koroną! Powstańcy u nas kwaterujący towarzyszyli nam.

Najprzód z obawą wnieśliśmy krzyż do kościoła parafialnego, z przyczyny lekkiego proboszcza. Tam na gradusach mech poukładawszy, nadając im kształt mogiły, od strony ołtarza zatknęliśmy krzyż. Gdy lampy z tyłu na nim poprzyczepiane zaświecono, uroczem błysły światłem. Znak męki Pańskiej jaśniał jakby w gloryi. Na mogile trumna — a na niej kosa z pałaszem w poprzek złożone, na których rogatywka historyczna górowała!

Na przodzie trumny stała, mszał i kielich, godła męczenników kościoła. Na froncie przypięłam na czarnym papierze wydatny biały napis: „Księża tam! zakonnicy tam! biskupi tam!

cały naród tam! to nie powstanie, tylko zmarłychwstanie“ (słowa Piusa IX).

Okna świątyni dywanami zasłonięto — co najwięcej się do efektu światła i cieni przyczyniło. Widok był dziwnie uroczysty i ponury, pelen majestatycznej grozy. O! można było serdecznie się nim przejąć, rozczulić i wezbrać ducha do modłów.

Chociaż to moje dzieło, sama sobie musiałam przyznać, że nadspodziewanie szczęśliwym uwieńczone zostało skutkiem. Nic w świątyni nie było rażącego, żadnej pstrokaczyny. Harmonia smętności w całej idei i w jej wcieleniu.

Potrzebną była przemowa duchownego, gdyż słowo i obecność księży, najważniejszy wpływ przy takiej uroczystości wywierają. Lecz niestety, kanonik miejscowy bladł i żółkł z panicznego strachu na widok nie ulegalizowanej przez rząd manifestacyi. Szczęściem nadjechali inni księża z dalszych okolic, jakby z wyraźnego natchnienia Bożego na pociechę wiernym.

Ależ na domiar trzeba było jeszcze czarnych chmur! Kiedy kościół zaczyna się przepełniać, prosi mię kanonik na słówko: — A wiesz pani, rzecze tajemniczym tonem, że chłopci się burzą? — trzeba krzyż, kosę, pałasz sprzątnąć; bo oni wpadną do kościoła i narobią breweryi.... I ja się boję, dodał, żeby nie było z waszej strony jakich nadużyć.

Gdy to wyrzekł i zaczął się opierać, rozplakałam się gorzko, bo i żal i gniew uczułam. Co tu poczyć? zewsząd się zjeżdżają, a całe solenne nabożeństwo w mojem imieniu zapowiedzianem zostało! Na szczęście dwie urzędowe powagi wraz z mą energiczną koleżanką, jak zaczęli przemawiać, uspokoił się kapłan. Pan N. upewnił go, że w razie napadu chłopów wezwaloby się żandarmów w celu zaaresztowania śmialków; a pocziwa koleżanka oświadczyła mu, iż będąc żoną cesarsko-królewskiego adjunkta, już piętnaście razy była w Galicyi na żałobnych nabożeństwach i piętnaście razy śpiewała Boże coś Polskę... a przez to mężowi jej pensyi nie odebrano i nic się im złego nie stało.

Przy liczmem zgromadzeniu, około stu osób, podczas nabożeństwa wstąpiłam tedy na chór; po odegranym zaś, z całym talentem artystycznym, przez panią J., marszu pogrzebowym Beethoven'a, westchnąwszy do Boga, pomimo wzruszenia i łzy zdobyłam się na odwagę i trzy zwrotki: Aniele stróżu, zaśpiewałam.

Uroczystość zakończyła mowa do serc wszystkich przemawiająca, która zarówno obywateli jak i wieśniaków do płaczu rozczuliła, przez ks. Głotkiewicza:

Na tle jej czysto religijnem, uderzającym był ustęp, że w roku 1831 zemsta jeno wywołała

powstanie i że dla tego upadliśmy — a że dziś powstałszy z miłością w obronie prześladowanej wiary, zatem zwyciężyć powinniśmy. Wyliczył ksiądz przytem wszystkie okrucieństwa, których się Moskwa dopuszcza i jak krzyż Pański i świątynie znieważa.

Dnia 10 września. Opisywał nam Bolek ruch w Przemyślskiem, tudzież w Królestwie. To nie nasze okolice! Tam w każdym prawie domu stoi po kilkunastu powstańców, którzy najotwarciej w mundurach świeżo zaimprovizowanych jeżdżą, ćwiczenia i musztry wojskowe odbywają; przybory, ładunki i broń wszelką przewożą w zabudowanie, gdzie obok powstańców zakwaterowany oficer austriacki z żołnierzami mieszka; — a gdzie cesarscy żandarmi u bram na straży stoją, pod ich okiem na środku dziedzińca bezpiecznie to wszystko się odbywa. Czem zaś to robią? Oto głównie wszechwładnemi, jak powszechnie na świecie bywa, pieniędzmi.

Przytem powiadał, Bolek, że ofiary tutejszej szlachty są niczem w porównaniu z ofiarami stron tamtych. Tam i podatek płacą i ułatwiają wszelkie przesyłki — utrzymują powstańców, nie szczędząc im niczego; konie na zawołanie dają. Gdy jedna z magnatek wymawiała się od kwate-

runku ochotników, otrzymała rozkaz z pieczęcią od majora, żeby wydała 20 korcy owsa natychmiast, od czego uchylić się nie znalazła odwagi.

Jest do naganienia tylko, że rewolucyjnemi zbytkowemi strojami się afiszują. Czynnościom szczytnym, nadając cechę arlekinady, zakrawa to na komedję próżności, przynoszącej szkodę.



IX.

Nabożeństwo za poległego ś.
p. Medarda Tchórznickiego.
Wyprawa Czechowskiego.

IX.

Wypis z Czeskiego
p. Medyka Technicznego
Nabórstwo na poległego

IX.

Dojeżdżając do Sanoka, coraz więcej napotykałam spieszących tam, to bryczkami, to powozami — czwórki — liberye! — słowem znak zjazdu, jakiego Sanok jeszcze nie widział.

Ulice zapełnione — konie popasają na bruku — miejsca w oberżach już nie ma — udało mi się przecież stanąć choć w żydowskiej karczmie. Tu przebrawszy się w spólnym gościom pokoiku — bo o osobnym ani można było myśleć — wyszłam zaraz do kościoła.

Wśród spieszącego tłumu, czarno przyodzianego, jaskrawe jeno uniformy austriackich żołnierzy rażąco odbijały.

Dziś każdy kolor nie żałobny razi — chociaż i między wojskowymi wielu jest ludzi uczciwych, nie wynarodowionych, którychby mundury razić nie powinny. Właśnie — jak słyszałam — nie u jednego leją kule i fabrykują ładunki; a kule przemycają dziewczęta w konewkach dopełnionych wodą.

Przeciskam się już do kościoła i z trudnością dostaję do najbliższej przy katafalku kaplicy. Potoczywszy wzrokiem na uroczyste przystrojenie,

zdumiałam z zachwycenia i podziwu. Odbiły się tam dwa główne środki: smak wytworny i bogactwo, pozwalające urzeczywistnić się fantazyi.

W pośrodku nawy kościelnej była nie wielka mogiła, nad którą rozpościerał ramiona krzyż dębowy z cierniową koroną; a po nad nim płakała brzoza splotami zwisłych warkoczy.

Dalej wznosił się wspaniały katafalk, t. j. na czterech słupach żałobnych trumna karmazynowa pod krepą, jakby pod ciemnym obłokiem. Na trumnie z przodu stały dwie świece w płaczliwych wygiętych świecznikach — za nimi krucyfix kirem pokryty — tudzież zwykłe godła: krakuska i miecz; — na drugim zaś końcu trumny od strony ołtarza, kaganiec z płomieniem czerwonym, znamieniem krwi poświęconej.

Okalały ten niezwykle katafalk szeregi świec jarzących, piramidy i kolumny z trupiami głowami, połączone gierlandami z wawrzynu — na kolumnach gorzały lampy mdławo; a po nad tem wszystkiem ulatał anioł w powietrzu, niosąc wieniec dębowy.

Do uzupełnienia obrazu kościoła był przepełniony: byli tam magnaci, szlachta, mieszczenie, a nawet chłopi w przeważnej liczbie — księży zaś łacińskich i ruskich, razem dwudziestu dzie więciu. Podczas sumy zajaśniała świątynia rżęsystem światłem, bo wszystkim przytomnym świece porozdawano.

Mowy były dwie:

Pierwszą miał ksiądz Jastrzębski. Poprzedził ją słowami Pisma: „Przepuść Panie, przepuść ludowi Twemu i nie daj dziedzictwa Twego na hańbę, ażeby nad niem poganie panowali!“ Rzekł on, że ten co poległ żył w szczęściu, w dostatkach, wszystko mu odpowiadało, do jego żywota 22 letniego wszystko się uśmiechało; a on ten żywot uciech, szczęścia, opływania w dostatki na łonie kochającej go rodziny rzucił, i poszedł z pewnością ofiary, z pewnością zgonu, z rozkoszą! poszedł tam, gdzie bracia jego giną za wiarę i ojczyznę.

Druga mowa była krótsza, do braci młodszych, do ludu. Proboszcz miejscowy wykladał mu, co to jest wiara, co to jest ojczyzna, zrozumiałe, po prostu, pocziwie. I tak — rzecze — co do ojczyzny pozwolę sobie, moi kochani, dać wam to porównanie: Wyobraźcie sobie sieroty, którym rodzice pomarli, ojcowiznę im źli sąsiedzi zahaczyli, a biedne dzieci wygnali lub w swoje sługi obrócili. Toż się i z nami stało! Nasza ojcowizna — to Polska! Naszym ojcem był król, któregośmy sami sobie obierali; lecz kiedyśmy znikczemnieli, upadli w cnocie i pocziwości, zostaliśmy słabi; — sąsiedzi, gdy król nam, nasz ojciec umarł, z tego skorzystali i już nie dopuścili abyśmy innego obrali, ale naszą ziemię w opiekę wzięli, nas zaś w sługi swoje zamienili.

O! nie odzyskamy inaczej ojcowizny i wolności, tylko jak owe sieroty, które zostawszy pełnoletniemi, dopiero przyszły do prawa upominania się sądownie o wymiar sprawiedliwości. A więc nasza pełnoletność nastąpi, skoro wszyscy poczujemy to, cośmy powinni poczuć i skoro poznamy się na naszym położeniu. Proces zaś, który sąsiadom wydamy, nie na papierze piórem, lecz orężem trza będzie wywalczyć, zdobyć, odebrać ojcowiznę, to jest: wspólną naszą ojczyznę!...

Wyprawa Czechowskiego w Lubelskie. Dzień wymarszu był odkładany i niespodzianieznaczony ostatecznie. Termin ten zatajono przed ochotnikiem Leszczyńskim, przez wzgląd że stracił prawą rękę; — uznano, iż nie godzi się narażać go bezpożytecznie. Ale młody zapaleńiec dowiedziawszy się, że koledzy wyruszyli, wpada do wuja swego, ze łzami błaga, aby mu dał koni do dopędzenia kolegów, i grozi, że w przeciwnym razie w łeb sobie palnie (lewą ręką).

Otrzymuje tedy konie, dogania towarzyszków, i przechodzą razem granicę w liczbie 700. Pierwszy nocleg wypada w deszcz — wiara kładzie się na błocie i zasypia.

Nazajutrz, t. j. trzeciego dnia od wyjścia z Sannockiego, z domów rodzinnych, głód zaczyna im dokuczać. Bolek, współtowarzysz wyprawy, (opowiadający nam te szczegóły) kwaterką mleka przez siebie wydojonego i zapłaconego rublem w srebrze, tego dnia się pokrzepia.

Następuje pierwszy bój.

Pozycya naszych w lesie — na widnokręgu pokazuje się chmura — jednolita masa zwolna się poruszająca. Była to kolumna z kilku tysięcy dziczy moskiewskiej złożona, z piechotą, konnicą i działami.

Obejrzał się Bolko. — „Ja patrzę — mówi — aż tu o kilka kroków Gucio, tam Kazio, tam Władzio, tu Nikiforów, ot i koniec; bo choć było nas siedmiuset, to się gubiło, rozstawieni po za jodłami w lesie.

Od wiary pada strzał pierwszy — na to odpowiedź daje Moskwa rotowym ogniem. Kule jak grad lecą i widzę jak tu ginie jeden z ziomków, tam drugi — jęki ranionych przeszywają serce... pierwszy to bój, pierwszy chrzest krwi!... Czuję, że mi się zimno robi, że coraz mocniej blednieję... bo strach nie lada! Jeden Nikiforów (obwiniony później o zdradę i powieszony) z zimną krwią, dodając mi ducha, mierzy i pali najobojętniej. Oswajam się nakoniec z poezją wojny i nabieram odwagi. Bój trwał pięć godzin. Moskwa się cofnęła.

Po marszach poprzednich, chłodzie, głodzie i trudach partyzantki, znużeni wszyscy i upadający na siłach, radziśmy spocząć; ja idąc drzemałem. Aliści rozkaz maszerować dalej! Zatrzymujemy się nareszcie, rzuca się każdy na ziemię bezwładnie, kiedy nowy obowiązek do spełnienia nas czeka: Zjawia się bernardyn wzywając, aby zwłoki zacnego kolegi, które z sobą unieść zdążyliśmy, pod krzyżem stojącym na krańcu lasu pochować; aby każdy z nas na wieczną pamiątkę garścią ziemi je przysypał.

Mija i to! smutny obrzęd dopełniony — gdy nagle tentent koni kozackich i dziki tłuszczy okrzyk: *koli! koli! koli!* rozlega się do koła. Tu także energia i przytomność wybawia nas. W podobnych bowiem chwilach wstępuje z trwogą i siłą. Otóż, zrywa się wiara, w okamgnieniu przypuszcza do ataku i zwycięzko wychodzi. To była druga potyczka.

W trzeciej, przeważnemi znacznie siłami i zdradziecko napadnięci, zostajemy rozdzieleni, tak, że w dwudziestu tylko pod dowództwem Śląskiego — podczas gdy sztab z naczelnym wodzem Czechowskim ratował się odwrotem do Galicyi — w dwudziestu dotrzymawszy placu póki było trzeba, zostajemy w lesie.

Nieprzyjaciel się wprawdzie usunął, lecz w którą stronę, i jaka była odległość od granicy, nie wiadomo. Oddaleni od niej o ćwierć mili jeno,

krążyliśmy długo, gdyż chmury na niebie nie przepuszczając słońca, nie pozwalały się nam orjentować.

Błądząc, usłyszeliśmy przecie pianie koguta — znak osady ludzkiej — wysyłamy co tchu na zwiady i dowiadujemy się, że przekłęty wróg rozstawiony obozem o kilkaset kroków! Wtedy zwątpienie, nieodstępne od ciężkiej niedoli, zaczyna nas ogarniać. Zauważyłem owej pamiętnej chwili, mówiąc nawiasowo, że jeden z mych przyjaciół gorąco pacierz odmawiał — a był to ów, co ongiś w kraju, gdy go zapytywano, czemu się nigdy nie przeżegna? „Szkoda czasu — odpowiadał — wolę fajkę palić“....

Dnia 10 listopada 1863. Wyczytałam z boleścią w gazetach, że w wyprawie jenerała Waligórskiego padł mężny major Słaski podczas szarży wykonanej przez dragonów moskiewskich. Był on tak lubionym, że jedna z pań wyraziła się o nim: Smaczny doprawdy przybył kasek kobietom na tamtym świecie — bo wszyscy tak go kochamy, jeno było mu żyć!

Dnia 21 listopada. Nastąpiła zmiana dekoracyi — miałam poznać typ nowego ochotnika, jakich powstanie wydało wielu — niestety!

Szarą godziną zjawia się czwórka. Kajetan wpada i woła: jadą goście... znów masz powstańca... ale z tego będziesz zadowolona. O zmroku nie mogłam zaraz gościowi naszemu się przypatrzyć, lecz jakiś dziwnie nie wytłumaczony wstręt poczułam na przywitanie go.

Tymczasem pan gość mówił nieprzerwanie i prawie odpowiadał sam sobie. Opisywał swoje życie, przeszłe i teraźniejsze stosunki, opisywał je z animuszem i w różowych kolorach — a że awanturniezo i z humorem, rozbudził ciekawość i zabawił nawet.

Dalej chętnie go słuchaliśmy, pomimo, że gdy zaświecono lampę, powierzchowność jego nieprzyjemną się okazała: Bunda węgierska na nim, brudna i wytarta, waty kawałek sterczał z jednej strony; koszula podejrzaney barwy; szalik na szyi podarty i spłowiały; buty zbłocone i powykrywane, jak gdyby z innych nóg były; przytem włosy rozczochrane, a oczy małe, bure, wzrok ich niepewny, nie otwarty.

Oto koperta duszy tego człowieka.

Treść rozmowy, to odzwierciedlenie jego moralnej strony, do której wstępem był ofiarowany mi bilet z koroną nad nazwiskiem, wyłuszczała jakoby wychowanie odebrał we Lwowie. Lwów

mu najlepiej znany, tam wykształcił się na prawnika — tam z burmistrzówną miasta miał się żenić — był po deklaracyi — zapowiedzi wyszły — ale przekonawszy się przez służącego o niestałości panny, że poszłaby tylko za niego aby jej służył za *dekmantel*, po scenach romantyczno-tragicznych odstąpił od związku, odchrowawszy swój zawód pierwszej miłości — tyfusem!

Drugi peryod jego życia: podróż jedenastomiesięczna ze stryjostwem do Włoch i Paryża. Stryjenka miała być dziedziczką licznych włości na Podolu i nosić tytuł hrabiny. Tu znowu humorystycznie opisał nam usposobienie tej pary krewnych swoich: stryja, hreczkosieja, flegmatyka — stryjenki, damy spazmatycznej, modnej rozrzutnicy.

Trzeci ustęp był najkróciej wspomniany: o adwokackiej karierze w Krakowie — jak z niej usuniętym został przed dwoma laty za urządzenie *requiem* za poległych w Warszawie.

Po czem nastąpił akt czwarty i ostatni przeszłości jego, jak wyjechał do Unghvaru do Węgier; — tu wspomnienia o znajomościach z damami najpierwszych rodzin — o jego wzięciu, czynnościach, wpływach, urządzaniu loteryi, koncertów, a wszystko na cele polskie, narodowe.

Na zakończenie nastąpiło postanowienie rzućenia się do powstania, popęd najszlachetniejszy;

a na usprawiedliwienie niedbałego ubioru, powiada dalej, że stroje (wymienia ich wartość i liczbę), tudzież meble i obrazy — bo to wszystko posiadał — zapisał testamentem, na wypadek gdyby poległ — na zakłady dobroczynne.

Po takim odszkiecowaniu przeszłości z postanowieniem przyszłości o tak wzniosłych celach, pójdęcia do walki dla sprawy publicznej, licząc bardziej na zgon niż życie, czyż mogła nas dłużej zniechęcać jego powierzchowność? Istotnie zajmował nas coraz bardziej, tem więcej, gdy pokazał zbiór fotografii przyjaciół Węgrów, którzy mieli za nim pospieszyć na usługi naszego kraju.

Nazajutrz mąż mój wyjeżdżając na targ, a chcąc uczcić gościa, który miał nawet być koncercistą — postanowił przywieźć skrzypce z miasta i zaprosić kilka osób na wieczorek muzyczny. Ja musiałam sama z nim zostać, żeby się nie ukazywał w charakterze powstańca, jeżdżąc i słaniając się po mieście z mężem moim.

Teraz zaczęły się odkrycia:

Najprzód na wspomnienie żony notaryusza, która miała być zaproszoną, okazał gość widoczny niepokój, wzrastający stopniowo; a nad wieczorem, spytawszy się z której strony Kajetan nadjedzie, cały czas przed oknem przesiedział, z obawą wyczekując, czy z nim i notaryusz nie

nadciągnie. — Z mownego stał się milczący, zadumany.

Wkrótce nadjechało dwóch moich sąsiadów i notaryuszowa — pan gość nieodgadniony zabiera się do przyświecania przybyłym, postępuje zbyt familiarnie; słowem, miesza się do rządzenia i wdaje nie w swoje rzeczy — bo znajomość kilkogodzinna za krótką mi się zdawała na poważne znalezienie się.

Dalej *crescendo* idzie w tym tonie: Przyskakuje ku mnie i odzywa się w sposób, jakby do przyjaźnych związków już należał, jakby nasuwając myśl, że кто wie czy i nie w ściślejszych stosunkach zostaje ze mną. Taka nikiemość oburzyła mnie do żywego. W jakimże to celu... zaczęło mi się naprawdę mącić w głowie i robić straszno. Cóż to za człowiek?!...

Zmuszona byłam przy herbacie naprowadzić rozmowę (aby dać uczuć zagadkowemu nieznanemu jego nietaktowne postępowanie), na znalezienie się mężczyzn w towarzystwach kobiet w Węgrzech — na ich *sans gêne* — na brak szacunku i przyzwoitości — mówiłam, że otwartości gburowatej pochwalić nie mogę — itd.

Nazajutrz dopiero nastąpiło zdemaskowanie gościa. Odprowadzam notaryuszkę i dowiaduję się od jej męża, że ów pseudo-patryota, to prosty kryminalista — że w Krakowie był suflerem

w teatrze, a nie adwokatem — słowem, że to indywiduum bardzo niebezpieczne.

Lecz za rozwlekłe nad tym wypadkiem się rozpisałam — ale podobne zdarzenia należą do obecnych czasów. Najnikczemniejsi pod płaszczykiem najszlachetniejszych uczuć knują częstokroć występki. Przykład ten niechaj posłuży za przestrołę!...

X.

**Indagacye. Zasługi żydów.
Anekdota o ks. Adamie
Sapieże.**

X

Indagatio. Zastugi tydow.
Anekdota o ka. Adamie
Szpile.

X.

Dnia 8 grudnia 1863. Jestem wezwana stawić się do powiatu w celu wytłumaczenia się ze śpiewu Boże coś Polskę.... w czasie nabożeństwa za poległych. Po drodze zdybuję moją znajomą, powracającą właśnie z powiatu, gdzie się także usprawiedliwiała. Każe mi zaprzec się, bo tak z trzecią oskarżoną uradziły. A więc wbrew memu przekonaniu każą mi skłamać. O! jakże wyżej stoją nasze rodaczki pod rządem moskiewskim. One, choć im grożą męczeństwem lub śmiercią, nie zapierają się postępowania swego.

Przybywszy do powiatu, udałam się wprost do kancelaryi naczelnika. Tam zasiadłszy na wskazanem mi krześle, zapłonilam się ze wstydu. Oczekiwałam najprędszego zakończenia, bo moralnie cierpiałam i gadałam tak, że gdyby sam naczelnik nie pragnął być pozbycia się sprawy, mógłby mię być za winną osądzić — ale indagacye musiał przeprowadzić jako urzędnik. skoro otrzymał denuncyacyę — lecz żebym była uka-

raną, tego sobie nie życzył... dla opinii u szlachty, opinii publicznej.

Najprzód piszczyk niższego rzędu odczytał zaskarżenie — poczem naczelnik dobitnie zadał mi pytanie, czy istotnie prawda, jak doniesiono, żem śpiewała Boże coś Polskę?... Wyrzekłam, że dziś pierwszy raz będę zmuszoną rumienić się, wszelakoż idąc za większością głosów, potwierdzam, co przedemną dwie panie, podobnie oskarżone, już zeznały.

Na to oświadczenie zrobił kwaśną minę i zawołał: ale tu chodzi, żeby pani dosłownie powiedziała, czy śpiewała Boże coś Polskę..., czy nie?! — Odpowiadam mu tedy, że Boże zapewne było, jak w każdej modlitwie.... i na tem urywam. Lecz pan naczelnik natarczywie: ale coś Polskę... te słowa czy były śpiewane? Tu znów mówię: coś Polskę... to nie pamiętam dobrze.

— A! kiedy tak, to zapewne pani nie śpiewała, — zakonkludował *beamter* i kazał wciągnąć do protokołu.

Na tem skończyła się pierwsza moja polityczna rozprawa... Nie poszłam do kozy.

Dnia 9 grudnia. Jedna z pań komitetowych na prowincyi przybyła po stare futro dla jakiejś

w przelocie kuryerki. Przywiozła także nowe przepisy, mocą których kobiety zostały uwolnione od dawania pieniężnej składki, lecz w miejsce tego są obowiązane składać po dwa tuziny bielizny męskiej, i to nie pod adresem centralnego komitetu dam we Lwowie, lecz na ręce naczelników obwodowych. Pokazało się bowiem, że niektóre damy lwowskie raczyły uwzględniać w rozdzielaniu pomocy wyjątkowe osobistości. Przy tem za wiele jeździły dorózkami, które stosunkowo drożej kosztowały, niż czynności tego wymagały.

Dnia 14 stycznia 1864. Przyjmujemy niespodziewanego, a nader miłego gościa: kapitana Drażkiewicza z Kongresówki, obecnie emigranta, który porzuciwszy swój urząd w Radomiu, odbył wyprawy pod Czechowskim, Waligórskim, Gierszkowskim i Dąbrowskim. Pierwszego wieczora zajmował nas do godziny drugiej po północy swemi pogadankami; nie pomyślało się o śnie, tak nam czas zeszedł. Pomiędzy innemi obrazkami, skreślił nam szkic historyczny z obecnego powstania, gdzie uwydatniają się zasługi starozakonnych z Królestwa:

Jenerałowie moskiewscy po przejściu z osłupienia na wieść o powstaniu, chcąc powziąć

prawdziwe objaśnienie o rokoszu, jak go nazwali — o jego punktach zbornych — rodzaju uzbrojenia itp., a nie ufając katolikom, udali się do Polaków mojżeszowego wyznania, w przekonaniu, że ci najłatwiej przekupić się dadzą.

Ale tym razem Izraelici przejęci wspólnymi z resztą ludności polskiej uczuciami, pragnąc zarówno wolności dla matki, która ich odpychanych, pogardzanych, prześladowanych przygarnęła do siebie i z własnymi dziećmi zrównała, starali się w swoich objaśnieniach być pomocnymi nie dla mordercy, lecz dla przybranej ojczyzny.

Oto jeden z faktów wiarygodnych — mówił Drażkiewicz — który zdarzył się pod Radomiem.

Komendant siły zbrojnej moskiewskiej, chcący mieć dokładną wiadomość o sile i środkach powstania, wysłał żydka na zwiady.

Po powrocie wysłańca przyzwawszy go do siebie, pyta:

— *Szto słyszno?*

— Jaśnie Wielmożny Jenerale! odpowiada usłużny i pokorny żydek — te Polaki wszędzie się zbuntowały.

— A byłeś ty w miasteczku?

— Jak jam nie miał być, kiedy tam była droga.

— *Mnogo tam buntowszczykow?*

— Oj! bardzo *mnogo*, jak piasku w morzu.

— *A skolko?*

— *Ny*, ja nie rachował, ale mówią, że będzie z osiemdziesiąt tysięcy.

— *Wrzós sukiny!*

— *Ny*, to niech jaśnie wielmożny generał jedzie i psierachuje, bo ja nie rachował — ja tylko wiem, że w mieście są, na rynku są, w ulicy są, w chałupie są, za chałupą są, na polu są, pod lasem są; a co ich w lesie jest, to tylko jeden Pan Bóg wie; a co ich po drogach! po ścieżkach! to tak jak woda do morza płyną.

— *A imiejut rużja?*

— A jak by miało być?

— *A kakowy?*

— *Ny*, jeden chodzi z karabinem, drugi chodzi z pikiem, trzeci chodzi z dubeltówkiem, ówarty chodzi z pojedynkiem, piąty chodzi z pistoleciem, takim, jaki wielmożni państwo mają; — inny chodzi z takim pistoleciem, że jak raz nabije, to sześć razy stsieli. Inni mają tylko pantafasz — a znów mają taki karabin z bagneciem, co nie jak wielmożnych państwa, co tylko pichnąć, ale co i psieciąć i uciąć. Najgorsze ze wsistkiego, to kosy! nie takie kosy, co może miśli jaśnie wielmożny generał, że trawę kosi; ale to i z jednej strony ostre, i z drugiej ostre, i na końcu ostre... i to na takim wysokim kije, że jak podniesie, to nad chałupie; a jak machnie, to albo pies głowie — albo pies jedną rękę — albo pies nogę — albo pies

pół psietnie — albo kiški psierznie — *ny*, a jak psies kisiek zić?!...

— *A kak umundirowany?*

— *Ny*, jak kto miał. Jeden chodzi w korżuchu — drugi chodzi w algierke — tsieci chodzi w paltocie — ćwarty chodzi w ciamerce — piąty chodzi w tuziurkie — siusty chodzi w kapote — siudmy chodzi w niedźwiedziach. *Ny*, jak który mógł! Niektóry boso, postronkiem psiepasany — ale za to jak biją — *si git* wojsko polskie — choć boso ale rabuśniki jak biją, to *aj waj!* Niech j. w. jenerał psipatsi się, jak oni nikiego nie ściędzą:

Tu zdjął chałat i bieliznę z ramion i ukazał parę śladów bata, które dla obudzenia większej wiary do swoich doniesień kazał sobie sam poprzednio wyliczyć i rzeczywiście dostał.

Zadumał się jenerał, a po chwili zapytał:

— *No! a szto dnmajut diełat?*

— *Ny*, nie śmiem powiedzieć.

— *No! skaży.*

— *Ny*, oni mówią, że tu lada dzień po niedzieli psidą i j. w. jenerała wezmą i powieszą.

Zadumał się satrapa nad zmienną koleją rzeczy ziemskich — a ocknąwszy się wynagrodził Izraelitę.

Tegoż samego dnia rogatki były obsadzone silniej wojskiem; w stronę, zkąd był spodziewany atak, wyprowadzono dwa działa; — poste-

runek przez całą noc pod gołym niebem na błocie i śniegu stać musiał; — żołnierze czuwali pod bronią wraz z oficerami; — moskiewki opuściły zajmowane z rodzinami kwatery w mieście i przeniosły się do koszar. Usłudni niby żydkowie z dnia na dzień zapowiadali szturm do miasta.

Stan ten trwał przez parę tygodni — głównodowodzący odniósł się do namiestnika o pomoc, a uzyskawszy takową, wyprawił podkomendnego generała, polecając mu rozbić i wytępić *miatieżników*; lecz ci przez ten czas wzmocniwszy się i zorganizowawszy, dali dosyć zatrudnienia wrogom.

Opowiadania Drażkiewicza były interesujące i urozmaicone. Opisywał nam demonstracje z 1861 r., które powstanie poprzedziły; przytaczał nadto ustępy z kazań i mów z obchodów religijno-narodowych; — nakoniec zabawiał nas patryotycznymi anekdotami:

Rabin Mojzeles i Gorczaków. Kazał Gorczaków przywołać do siebie rabina, aby mu zrobić wyrzuty i napomnienia, dla czego żydzi z Polakami trzymają. Mojzeles wysłuchawszy z powagą, odpowiedział:

— Jaśnie Wielmożny Panie! cóż w tem dziwnego? — to prawda, że car to nasz ojciec, to

nasz pan — ale Polska to nasza matka — ona nas przyjęła, ona nas przytuliła do siebie, my tu wzrosli, my tu majątki porobili — ona nas żywi, dla tego my ją jak dzieci swoje kochamy. Otóż to się dzieje tak jak między familią: czasem ojciec z matką się pokłóci, a zawsze wten czas dzieci za matką stają, bo ta je więcej kocha. A było też i tak, że na nas Polacy się gniewali, bo im nagadano, że my im pana Boga zamordowali, że to stało w ich Biblii — jakże więc oni mieli zrobić inaczej? ale od czasu jak się przekonali, że to nie prawda, że to nie my ale kozacy krzyże im rąbali, odtąd z nami zgoda — kochamy się jak bracia, a znów z wielmożnym państwem jesteśmy źle. To bywa różnie, jak w familii!...

— *Paszoł won!* wrzasnął generał i skończyło się posłuchanie.

Mówiąc o anekdotach, przytoczyć wypada jedną o ks. Sapieże. Kiedy do uwięzionego Adama Sapiehy przyszedł nieboszczyk Kuczyński, konsyliarz kryminalny, trudniący się jego sprawą, książę zapytał: jak on myśli, kiedy go uwolnią? Biurokrata miał na to flegmatycznie odpowiedzieć: — Cierpliwości, cierpliwości, to w swoim czasie nastąpi!...

Po upływie pewnego czasu konsyliarz dostaje wyrok śmierci od Rządu Narodowego. Idzie więc z nim do księcia i pokazując zapytuje: Jak książe sądzi? czy ten wyrok wykonanym będzie. Książe na odwet odpowiada mu: — Cierpliwości, cierpliwości, to w swoim czasie nastąpi! Ale słowa te na krótszą próbę wystawiły cierpliwość, gdyż wyrok niebawem na konsyliarzu spełniono.

Dnia 15 lutego 1864. Słyszę turkot, wyglądam, dwaj jacyś panowie zajeżdżają bryczką. Jeden wyższy, ciemny blondyn z brodą, miłej i ujmującej powierzchowności, mający w ruchach powagę i energię; zresztą przebijała się w nim wyższość umysłowa. Drugi mały, ruchliwy, z wąsikami jasno-blond, z oczkami żywemi, lecz z wyrazem nie pewnym, — strój zaś obydwóch europejski, nie odznaczający się, nie bijący w oczy.

Po mojem wnijsciu i ukłonach, niski blondyn zbliżywszy się, przedstawia mi towarzysza jako p. Kulczyckiego, po czem siebie: jestem Szeli-gowski! Zaczyna się rozmowa, z której poznaję w Kulczyckim pułkownika Grekowicza — a Szeligowski, to jego audytor.

Jak z początku audytor był tylko mowny, tak później o wiele więcej rozruszał się pan

pułkownik. Przyjemne zrobiło na nim wrażenie przytoczenie wiersza: Litwo! ojczyzno moja... gdyż Litwa i ojczyzną pułkownika. Zapamiętałe miłował on ją, bo zaraz mi przypomniał, że wydała w przeszłości i teraz najświatlejszych i najteższych ludzi: Mickiewicza, Syrokomlę, Narbuta, Sierakowskiego, Maćkiewicza, i że ogół najlepiej usposobiony na Litwie — „tam lud, szlachta, wszystko pocziwe!“ mówił.

Wśród licznych rozmów z Grekowiczem, osnutyh na tle bieżących wypadków, wzmiankował mi, jak sławny szewc, Hiszpański, przywołany przez jednego z generałów moskiewskich, ażeby mu dobre buty zrobił, odpowiedział: Już ja takie jasnemu panu uszyję buty, że w nich do Moskwy zajdziesz!

Przy herbacie, wskazując na jabłka, rzekłam, iż w mych zasadach politycznych jestem czerwona jak te jabłka, na co pułkownik ozwał się: a ja pani jak krew! Mówiąc zaś o Sanockiem, dodał: są tu piękne góry i lasy, ale ludzi nie widzę.

Dnia 27 lutego. Zjawia się posłaniec z sąsiedztwa z listem uprzedzającym o mających przybyć nieproszonych gościach. Czytając

prędko, niezrozumiałam; aż adjutant Grekowicza zwrócił moją uwagę, że to jest uwiadomienie o rewizyi. Zatrwożyliśmy się wszyscy, najbardziej o osobę pułkownika, który z mężem moim co tylko miał wrócić z wycieczki — trwoga nasza była tem większą, że wszystkie poszukiwania w okolicy głównie jego się tyczyły.

Za godzinę nadjeżdża inny posłaniec z zawiadomieniem wyraźnem o odbytej już w sąsiedztwie rewizyi, i z ostrzeżeniem, że jeżeli mamy jakich gości, aby ich wyprowadzić zaraz w góry. Nastąpiły narady, co począć, i mnóstwo projektów. W każdym razie rachowałam na czujność psów, że nas w czas uprzedzą....

Skończyło się na tem, że rewizya nas jakoś na ten raz ominęła, — Grekowicz zaś powróciwszy szczęśliwie z wycieczki, został wywieziony w nocy przez Kajetana — w bezpieczne schronienie do sąsiadów.

XI.

**Okólnik Grekowicza. Ucieczka
Niemiry. Pan Alfred w postaci
Maryni.**

XI

Okólnik Grekowicza. Ucieczka
Niemcy. Pan Alfred w postaci
Marjani.

XI.

Dnia 6 marca 1864. Jak tylko stan oblężenia Galicyi ogłoszony przez rząd austriacki został, nastąpił popłoch i upadek na duchu pomiędzy obywatelstwem wiejskiem. Boleśnie było słyszeć tam i owdzie objawiane zdania: „Zobaczycie, że teraz wszystkich koroniarzy wyłapią i na śmierć Moskwie wydadzą“.... „Ale bo to i trudno będzie, żeby szlachta się narażała i powstańców dzisiaj u siebie przechowywała“. „Niechno jeno jednego obywatela zamkną, albo każą mu karę zapłacić — zobaczycie!“ i t. d. —

Dowódzca powstańców zrozpaczony obojętnością szlachty, doświadczywszy i na sobie jej skutków, ogłosił od siebie stan oblężenia, jako *contre-coup* rozkazowi rządowemu. Ogłoszenie to, którego dostałam egzemplarz (spisane na cieniutkiej karteczce), jest następujące:

Nr. 39. Okólnik.

Do Obywateli i Urzędników organizacyi obwodów Samborskiego i Sanockiego!

Z powodu ogłoszenia stanu oblężenia przez rząd austriacki, zmuszony jestem i z mojej strony ogłosić stan oblężenia! Za każde wykroczenie przeciw zasadom powstania — za oddanie kogokolwiek w ręce władzy austriackiej, dobrowolnie lub mimowolnie — za nie danie przytułku i pomocy powstańcom i usuwanie się od obowiązków, назначаm karę śmierci, która wykonaną będzie przez członków organizacji.

Obowiązuję Obywateli do ogłoszenia chłopom, że jeżeli w jakiegokolwiek wsi ktokolwiek będzie przytrzymany, wieś ta z dymem puszczoną zostanie, a najwinniejsi ukarani śmiercią.

Nakoniec oznajmiam, że celem organizacji jest wspieranie powstania w Królestwie Polskiem, a nie wywołanie tutaj w Galicyi rewolucyi.

Organizacya cywilna podlega wojskowej.

Dnia 4 marca 1864 roku.

(Pieczęć z napisem: Naczelnik
kadr wojskowych obwodu Sa-
nockiego i Samborskiego).

(podp.)
Pułk. Grekowicz.

Okólnik powyższy wzbudził początkowo przestrach między sanocką szlachtą, gdyż niepraktyczność groźby z razu była niepostrzeżoną. Twórcy takich myśli mogli się wydać i szalonymi wykonawcami tychże! wszelakoż aresztowania i odstawiania powstańców do granic rosyjskich nastąpiły, a zgłiszczcza nie zadymiły się,

ani sztylet bratobójczy nie przeszył piersi niczyjej.

Okólnik ma tę dobrą stronę, iż wypowiada jasno, że powstańcy rewolucyi w Galicyi nie myśleli robić, a tem samem, że użycie tego tytułu przez pewnych możniejszych obywateli do Mensdorfa, w celu uproszenia, aby zaprowadził stan oblężenia — było fałszywe.

Druga korzyść z okólnika, że Grekowicz, któremu obywatele odmawiali koni do przejazdu ze wsi do wsi w czasie oblężenia (przez co na schwytanie, wydanie do Moskwy i oczywistą śmierć jako były oficer moskiewski był narażony), został później przez tychże samych obywateli, rzemiennym jak to mówią dyszlem, odstawiony za granicę. *)

Dnia 25 marca. Przebudziłam się niespokojną, gdyż tej nocy miałam sen straszny. Zdało mi się, żem z krzyża (wystawionego za poległych, a porąbanego przez poduszczone chłopstwo) własną ręką bluszcz odzierała i cierniową koronę zeń zdejmowała. Ciekawa będąc najświeższych gazet, wyjechałam sama po nie na pocztę.

*) Toż samo opowiadał później Grekowicz autorowi, we Francyi (w Tuluzie), 1866 r.

W drodze spotkałam powóz i stojącą przed nim damę, która jakkolwiek mi nieznajoma, dała znak abym wysiadła. Damą tą była powszechnie znana z szlachetnych uczuć, sędziwa pani Ryłska. Oto jej słowa do mnie:

„Niemira zaaresztowany... trzeba go ratować... musisz pani ze mną zostać!“

Niemira, były oficer moskiewski, później dowódca jednego z oddziałów w walce przeciw Moskwie, następnie kapitan kadrów formujących się w Galicyi, został schwytany przez władze austriackie i miał być wydany Moskwie, gdzie go czekała kula albo strycek.

Nie było się co namyślać, gdy chodziło o ocalenie życia obrońcy ojczyzny! Odsyłam więc konie do oberży, a sama z panią R. udajemy się wprost do powiatu, aby odwiedzić więźnia.

Po pewnych ceregielach przyzwala naczelnik na te odwiedziny i dodaje nam urzędnika dla asystencyi.

Naprzeciw domu powiatowego wznosił się szary, jednopiętrowy budynek aresztu dla wszystkich przestępców, zbrodni i cnoty, kryminalnych i politycznych. Weszliśmy tam po schodkach na piętro, minęliśmy kuchnię, i ujrzałyśmy się w końcu w obszernej, brudnej, zaśmieconej izbie, gdzie leżała na tapczanie ochydna kobieta, zamknięta za dzieciobójstwo.

Do tej izby wprowadzono za chwilę Niemirę. Zdumialiśmy, widząc go w ciągu jednej doby zmienionego do niepoznania. Zbladł, zsiniał, wzrok iskrzył mu się z rozpacz i oburzenia.

Pani R. zaczęła próbować, czy nie można by okupić ucieczkę; — lecz urzędnik, ojciec pięciorga dzieci, nie chciał ryzykować swojej posady. Niemira tymczasem szepnął, aby mu przynieść sztylet, cztery łokcie sznura i pieniędzy sto reńskich.

Słuchaliśmy tych słów biedaka, nie mogąc się od łez wstrzymać.

Na dany rozkaz zamknięto znowu więźnia; urzędnik zaś żalił się na jego popędliwość; aleśmy mu wyperswadowały mówiąc, żeby się postawił w położeniu nieszczęśliwego, zanim sąd o nim wyda.

Po powzięciu bliższej wiadomości o losie więźnia i po wspólnej naradzie z panią R., odwiedziłam go powtórnie, aby mu oznajmić, że o godzinie trzeciej będzie wywieziony pod eskortą żandarma, żeby się go starał podczas drogi spoić, i że powóz z nami będzie jechał za nim. Misya ta udała mi się, jakkolwiek nie bez trudności.

W samej rzeczy o godzinie naznaczonej wywieziono go. Jechaliśmy za nim. Podziwiałam hart duszy mojej ze wszech miar godnej towarzyszki, jej niezłomne postanowienie wyswobo-

dzenia jeńca, mimo jej wieku i kalectwa. Promieniała nadzieją!

Ale otóż postrzegamy zdalą, jak żandarm i jeniec wstępują do karczmy. My za nimi! Niemira raczy tam trunkiem swego opiekuńczego ducha — my na stronie także coś spożywamy, śledząc pilnie najmniejszych ruchów anioła stróża z karabinem. Ten nakłada fajkę i idzie do komina aby ją zapalić. R. korzystając z odwrotu, wlewa z przygotowanego wprzód flakonika opium do jego szklanki. Żandarm zaciągnąwszy się dymem tytoniowym, dopija resztki zaprawionego napoju. Tego nam tylko było trzeba!...

Wkrótce opuszczamy karczmę, siadamy do powozu; za nami wybiega Niemira i skacze na kozioł. — Ukazuje się ze drzwi karabin i furazierka żandarmska — wreszcie widzimy go samego rozmażonego i chwiejącego się — zacinamy konie, pędzimy. Nieoszacowany żandarm!

Zbawiony Niemira jak czmychnął, tak czmycha!...

Po tem zdarzeniu, jeden z wpływowych w okolicy obywateli, pan O..... nadsyłając nam swoje fotografie, taki dołączył wierszyk:

Gdy kto jest w nieszczęściu i ratunku szuka,
Niechaj do drzwi słabej kobiety zapuka;
Znajdzie w niej obronę i stróża anioła.
Choćby był otoczony zbirami do koła,

Wydrze go ze szponów, pewnie go ocali,
Bo nie piękne słówko, — lecz czyn cnotę chwali.

Dnia 28 czerwca. Wróciwszy do domu z wizyty, zastaję salon oświecony i panią Bes-sowę z córką i z nieznaną mi panną Maryą. Ta ostatnia w sukni czarnej z mantylą, w kołnierzyku, w krawatce, z medalikiem na piersiach, siatce na głowie, skłoniła się. Nie zmiarkowałam się jeszcze, kogo witam. Ale po pierwszym przemówieniu, po głosie gościa poznałam.

Trudno było nie dostrzedz, że to panna Marya w metempsychosys. Jakżeż mię to rozśmieszyło i ucieszyło zarazem, gdy dowiedziałam się, że u nas zostanie! Zaczęły się żywe rozmowy.

Przykre to takie przeobrażenie powstańca, gorsze od kajdan (jak mówi panna Marya), „bo tu stalówki od krynoliny gryzą, tu spodnice płaczą się, tu rogi od stanika kłują, tu wypukłości z waty pieką, tu ubranie na głowie zawadza.“ A gdy się czasem Marynia zapomni w ruchach, cóż to za pocieszne! Pan Alfred najzupełniej się wtedy zdradza

Na tem się kończą notatki Celiny.

XII.

Rys wyprawy Lelewela.

XII.

Dla uwydatnienia obrazu ruchów powstańczych w Galicyi, rzućmy okiem na wyprawę mieszcza-
nina krakowskiego, Lelewela, mając ku temu
wiarygodne źródło, jakim jest obszerny raport
Skłodowskiego, byłego adjutanta przy Lelewelu:

Czas już wyjaśnić całą prawdę, choćby smutną
i bolesną. Ludzie silnego charakteru i męskiego
serca nie zgorszą się nią, ale owszem podwoją
siły i naprężą ducha, aby złe naprawić, a klęskę
powetować. Nie od dzisiaj na drodze naszej
więcej spotykamy cierni, niżeli kwiatów. Nie
przychodzi nam nic łatwo. Losowi nie będziemy
nic dłużni, kupujemy wszystko za cenę krwi
najczystszej, za cenę ofiar najświętszych.

To też skorzystaliśmy już wiele; złudzenia i
mrzonki za dotknięciem poważnej myśli poopa-
dały z nas, jak kwiaty zwarzone tchnieniem
jesieni. Z krwawych śladów pozostawionych za
nami, czerpiemy nie zwątpienie, ale moralną
siłę i naukę; na myśl ciężkich kolei nie upada
w nas wiara i nadzieja w lepszą przyszłość.

Z dnia 25 na 26 sierpnia (1863) — podaje Skłodowski — oddział nasz zbierał się w rozmaitych punktach nadgranicznych. W obozie pod wsią Luchowem, niedaleko Tarnogrodu, a wprost Sieniawy, sam pułkownik Lelewel zawięzywał początkową organizację, ściągając ze wszech stron dążące gromadki ochotników.

Dnia 28 sierpnia wyruszyliśmy z pod Luchowa, trzymając się granicy, a to w celu połączenia się z partią ochotników, prowadzonych przez kapitana Aleksandra Stępnickiego i rotmistrza Augusta Valentin.

Dalej opisuje Skłodowski silne porażki dane Moskałom przez walczone oddziały Lelewela i Ćwieka, następnie tak rozumuje:

Nie do mnie sądzić należy, czy zwycięstwo pod Panasówką zbyt drogo okupionem nie zostało. Może walcząc pod zakryciem lasu, straty nasze w zabitych byłyby mniejsze; ale zważywszy, że do boju po raz pierwszy występował oddział nowy, przeważnie galicyjski, który zaledwie powierzchownie zorganizować można było; że tylko na czystym polu ścisła kontrola nad szeregi mogła mieć miejsce; że tam tylko okowodza i dowódców z precyzją dostrzega tak poruszeń nieprzyjacielskich jak i własnych; że tam daleko łatwiej wszędzie być przytomnym, zachęcać, zagrzewać, cofających się wzmacniać i w czas ustępować — mniemam, że te prze-

ważne względy spowodowały pułkownika do przyjęcia walki na otwartej pozycji.

Pokazało się, że obawy nasze były daremne. Ochotnicy, po raz pierwszy na nierówny bój prowadzeni, walczyli jak posiwiali w bojach żołnierze.

....Powracając z pobojowiska, okrzykami radości i uwielbienia witali wodza, który wśród krwawej walki nie odstępował ich na chwilę, który zachęcał ich własnym przykładem i wskazywał każdemu z surową powagą jego obowiązek. Na twarzy Lelewela błyszczały łzy wdzięczności i wyraz dumy, że w dniu tym przewodził takiemu hufcowi.

Okrzyki ustały; zbliżyliśmy się w ściśniętych szeregach do miejsca, gdzie ranni towarzysze nasi złożeni zostali chwilowo, dla podania im najpierwszej pomocy. W polskim lesie, pod sklepieniem uwitem z gwiazd i błękitów, na ojczystej ziemi leżeli oni szeregiem ze spokojem na twarzy, bez skargi na ustach, dopytując się tylko o przyjaciół i kolegów.

Oficerowie i szeregowi spoczywali bez różnicy; a trzech zdolnych obozowych lekarzy, z całym poświęceniem opatrywało ich rany; — ze łzą w oku patrzyliśmy na cierpienia tych męczenników. Nie jednego dłoń, jeszcze ciepła, kostniała w braterskim uściśnieniu; nie jednego westchnienie było już ostatniem, jakim żegnał nas zo-

stających, których może jutro podobna czekała kolej.... Głęboki spokój rozlany był na twarzach i w naturze — wszystko to na tak uroczystą, na tak wielką składało się scenę, że w obec niej każdy mimowolnie zginał kolana, błagając Boga, aby, jeśli przyjdzie w walce położyć swoje kości, dał nam śmierć podobną, jakiej byliśmy świadkami.

Na zielonej murawie leżał jeden z towarzyszków naszych, major Edward Nyari (Węgier) ugodzony dwoma kulami.

W roku 1849 walczył na rodzinnej ziemi, i młody — za świetne dowody mężstwa otrzymał chlubną oznakę. Od tej chwili nie znał strzechy rodzinnej. Ojczyzna jego była tam, gdzie rozlegał się szczełk oręża, podniesionego za świętą sprawę, lub gdziekolwiek błyszczał promień nadziei dla nieszczęśliwych ludów.

Rok 1854 i 1859 widział go rzucającego się w wir wypadków i przelewającego krew za wiarę swych przekonań.

O, kto znał tego człowieka, z którego piersi buchało życie ognistym płomieniem — którego umysł żądza czynu trawiła bezustannie — kto znał ten charakter dziwaczny, często niezgodny, nieugięty nigdy i w niczem, surowy i nieco dziki; a widział go potem wśród męczarni piekielnych, w końcu zawodu w kwiecie życia, spokojnym i poważnym jak posąg; — kto znał go dawniej,

jak gwałtem rwał się do życia, i widział potem na pięknej śmiertelnej bladości jego twarzy wyraz głębokiej chrześcijańskiej rezygnacyi — słyszał słowa pożegnania z ludźmi, których nie lubił, i z wiarą, której miał mało; — kto widział ten uroczy zgon chrześcijańskiego rycerza — zaprawdę śmiało powiedzieć może, że śmierć na polach Panasówki była lekką.

Również niepowetowaną stratę ponieśliśmy przez skon dzielnego rotmistrza Rollera, Władysława Horodyńskiego, Lamberta Nejmartę, kapitana Reinbergera, Medarda Tchórnickiego i Józefa Cieszkowskiego...

Nastąpiło przedłużenie zaciętej walki z Moskwą, podczas której Leleweł, stojący w złej pozycyi i natarty znacznie przeważnemi siłami, życie zakończył. Śmierć jego Skłodowski w ten sposób opisuje:

....Zostały więc tylko nasze trzy kompanje strzelców, pod dowództwem pułkownika, w ogniu strasznym, z odległości kilkunastu kroków miotany...

Jeszcze chwilka, a strzelcy nasi w nieporządku zaczęli wzgórze opuszczać. Rozpacz i przerażenie malowały się na ich twarzach.

Usłyszałem wyrazy: „Zabity, nie żyje“ — Niewiedziałem kto, lecz myśl okropna przebiegła po umyśle. Spostrzegam jadącego z wawozu kapitana Tom..., a za nim Stępnickiego. Przeczu-

cie mnie nie omyliło, Lelewel nie żył. — W kilku słowach dowiedziałem się o wszystkim. Moskwa, zawczasie przyjeta ogniem przez oddział Œwieka, rzuciła się jedną kolumną na front naszej pozycji, gdy tymczasem druga obeszła skrzydło i zaatakowała z boku.

Ogień rotowy kilkunastu kompanii piechoty moskiewskiej zaćmił powietrze w naszej, i tak małej, kotlinie. Strzelcy nasi nie mogli do oka podjąć karabina i słabo odpowiadając na strzały, poczęli się cofać; Lelewel z szefem sztabu Valischem i kapitanem Stępnickim zwracali ich na linię, wskazując obowiązek żołnierza. W tej chwili dwie kule ugodziły pułkownika, zachwiał się na koniu...

Podbiegl Stępnicki, a Lelewel leżał już na ziemi i dwakroć zawołał: „Weź!“ konwulsyjnie szarpiąc ręką zegarek, który przeznaczył najdawniejszemu swemu towarzyszowi. W tej chwili nadbiegl kapitan Tom... i obaj zaczęli podnosić śmiertelnie rannego. Szef sztabu, Valisch, także nadbiegl w to miejsce, pytając, co takiego? lecz nachylony z konia aby lepiej się przypatrzeć, pada ugodzony kulą w tył głowy. Chwila była okropna!

Wiadomość o śmierci Lelewela i Valischa obiega szeregi. Ukryć jej niepodobna. Żołnierzy, co pod Panasówką szydzili z kul, ogarnął popłoch paniczny. Ogień olbrzymi! a bęben moskiewski

zapowiadał atak na bagnety — Moskwa już tylko na 15 kroków!

Nie słychać komendy, zamieszanie powszechne. Strzelcy ustępują, cofają się, i z każdej strony widzą błyszczący bagnet moskiewski. Nie mają odwagi walczyć dalej — nie mają odwagi umrzeć — a przecież z dumą umrzeć było można obok Lelewela!... Za chwilę popłoch się zwiększa, żołnierz w nieporządku uchodzi z placu boju. Stępnicki i Tom... usiłując unieść ciało pułkownika, ostatni prawie pozostali na placu, — muszą je atoli zostawić, bo bagnet nieprzyjacielski ich dosięga.

Z wyniosłej góry, jak lawina spadają nasi strzelcy na rezerwy u stóp jej ku Batorzu ustawione, dowodzone przez podpułkownika Grudzińskiego; a wraz z nami spada i wieść o śmierci pułkownika i szefa sztabu.

Za strzelcami w ślad, na całej górze, rozsypano kilkanaście rot tyralierów moskiewskich i 6 armat, Napróżno dowódzca wzywa do porządku. Porządek rezerw zmieszany — kartacze rozpraszają szeregi.

Trzeba się było cofać pod ogniem działowym i rotowym, a przede wszystkim myśleć o ocaleniu furgonów, na których oprócz amunicyi, mieliśmy paręset sztuk zapasowej broni. Przy furgonach nie było już żadnej eskorty i daremnie wstrzymywaliśmy piechotę, wzywając ją do asekuracyi.

Wozy postępowały w nieładzie, wymijając się wzajemnie...

Łącznie z kapitanem Stępnickim poskoczyliśmy ku Zakrzewskiemu, żądając od niego zasłonięcia furgonów i wzywając go do objęcia ogólnego kierunku nad kawaleryą. Zakrzewski dowództwo przyjął i natychmiast zajął się zebraniem rozpierzchłych.

Kozactwo dopadło już furgonów.

Zakrzewski zakomenderował i w kilkadziesiąt koni wysunął się spiesźnie przed furgony, pod nos prawie sypiącemu się kozactwu.

Dobra opinia o naszej konnicy przemogła tym razem nad rozbójniczą i złodziejską żyłką kozacką, podłechtana widokiem ulubionej zdobyczy, i zmusiła tłuszcę do odwrotu.

Moskwa chwyciła się ulubionej metody: straszenia zachodzeniem i okrażaniem skrzydeł, i poczęła gęsto sypać kartaczami. Furgony uchodziły; lecz jazda nasza, choć dotkliwie pod skoncentrowanym na nią ogniem ponosiła straty, trzymała się jednak, manewrując przeciwko wysuwającemu się zewsząd kozactwu.

Część naszej i Ćwieka piechoty zrejterowała, bez porządku wprawdzie, ale zawsze w najznaczniejszej masie. Korzystając ze wstrzymywania się Moskali, pchnęliśmy nasz obóz; broń i amunicya ocalały, ocalenie zaś to zawdzięczamy energii i osobistej odwadze Gustawa Zakrzewskiego.

Przestrzeń odwrotu rozciągała się na 1½ wiorsty szerokości i nie ochraniała nas nigdzie od strzałów nieprzyjacielskich. Moskwa i tu zajmowała wszystkie dominujące punkta; ale nasz żołnierz z pod Utrocza zapomniał swojej powagi, stracił krew zimną, nie umiał się więcej cofać zwolna pod ogniem baterii nieprzyjacielskich; potrafił tylko na przykrej pozycji rozprószyć się i błąkać pojedynczo po całym polu, nie słuchając komendy!

O godzinie trzeciej skonał, po kilku konwulsyjnych drgnięciach, Lelewel. O godzinie trzeciej bitwa na pozycji ustała, o godzinie czwartej bitwa na całej przestrzeni była przegrana....

Dziś jeszcze, gdy to piszę, nie umiem zdać sobie sprawy z bitwy Batorskiej. Straty nasze stosunkowo do Panasówki były małe, a nie powetowane. (Tu wyszczególnienie strat).

Nie było już Lelewela, który umiał utrzymać powagę dowódcy i jednym spojrzeniem godzić obozowe niesnaski. Skończył zawód swój na polu walki śmiercią, jakiej pragnął i jaką w tym dniu przeczuwał. Moskwa mogła tryumfować śmiało. W dniu 6 sierpnia straciła jednego z najzacieśszych i najwytrwalszych przeciwników.

Trup Lelewela ze wszystkiego odarty, w trumnie z czterech desek zbitej — pochowany został w kilka dni później skromnie, jak prostem i skromnem było całe jego życie, na cmentarzu

batorskim. Obok niego spoczął pełen odwagi i zdolności szef sztabu major Valisch, jedną tylko mający wadę, że zanadto był obojętny na niebezpieczeństwo!

Radbym jednym tchem dokończyć tego smutnego opisu....

Nie ulega wątpliwości, że siły moskiewskie były trzykroć większe, — że pozycja na całej przestrzeni była fatalną, — że nie znalazł się człowiek, któryby energią odpowiednią potrafił ująć w karby porządku zdeorganizowane szeregi. Wszystko to prawda, ale nie usprawiedliwiająca bynajmniej popłochu. Wina dnia tego ciąży na nas kamieniem!

Wszakże od dawna przyuczyć się do tego należało, że nierówną z wrogiem prowadzimy wojnę!

Jeżeli każdy z nas nie będzie miał w sobie tyle potęgi moralnej, aby zuchwale stawić czoło przeciwko trzem bagnetom moskiewskim i takowe zdruzgotać; jeżeli opuści nas duch ojców, który na polach Kirchholmu w 3000 rycerstwa pokonał sześć kroć liczniejszego wroga; jeżeli wyprzem się własnych dzisiejszego powstania tradycji, własnej historyi, krwawemi zapisanej zgłoskami; jeżeli wyprzem się Kobylanki, Chruśliny i tylu innych bitew, w których nie siła rąk i oręża, ale moralna potęga rzucała przestрах i wywalczała zwycięstwo — to zaprawdę porzucmy broń, jako nieużyteczne narzędzie; usiądźmy na mo-

giłach, których zgnilizna zdrowszą jeszcze będzie od naszego życia, i patrzymy odmawiając pacierze i wzywając miłosierdzia królów, na dymiące zgłiszczą domowych naszych zagród, na pokalane skarby ognisk rodzinnych, na hańbę sióstr i matek — na własne upodlenie.

Może — za łachmany duchowej nędzy rzuci nam świat błyszczące szychowe szaty, — może na wyciągniętą dłoń żebraków spadnie palący pieniądz jałmużny, — a może zabije nas powietrze grobów, przekleństwo na kalających je stopą plugawą.

Każdy — kto miłuje kraj nie słowem, ale czynem; kto nie dziecięcym skomleniem, ale słowem wcielonym dąży do czynu; ten wie — że pierwszy i ostatni wyraz tego dramatu, którego rozebraliśmy rolę, jest: zwycięztwo lub śmierć — ten wie, że język nasz dziesięjszy innej nie rozumie mowy — że po za wyrazami temi stoi zbrodnia, a w pośrodku nich zdrada. Jest tylko jedno całkowite życie i nieśmiertelność. Pół nieśmiertelności i pół życia nie ma!

Nie mogliśmy pod Batorzem zwyciężyć — nie umieliśmy jednym wstrząśnieniem Samsona runąć pod gruzami kolumn moskiewskich, — lecz mogliśmy w samem nieszczęściu dumnie stawić czoło losowi i poczuciem obowiązku nakazać Moskwie poszanowanie mężstwa!

Niepomszczona bitwa batorska powinna być zawsze dla nas wyrzutem sumienia, powinna być trądem duchowym na ciele.

W dniach ciężkiej próby zwracajmy myśl na błonia Batorza, gdzie poległ mąż, który wolał umrzeć, niż patrzeć na zwyciężką Moskwę. Na jego mogile uczmy się męstwa i surowej godności, zawsze strasznej dla wroga; — do grobu jego przychodźmy się pytać, jak w piersi jednego człowieka pomieścić się mogło tyle uczuć świętych, tyle nadziei, wiary i miłości! Do grobu mówię tego człowieka przybywajmy w chwilach zwątpienia; a może duch jego wskaże nam, jak nie upadać pod brzemieniem krzyża, stąpając po krwawych cierniach aż na szczyt Golgoty.

Kto znał tego żołnierza o dziecięcym sercu, a żelaznym umyśle — kto widział go na polu bitwy i w obozie, otoczonego gronem młodych towarzyszy, gwarzącego swobodnie, bez wyrzutów i narzekań, zawsze gotowego poświęcić ostatnią kroplę krwi za ojczyznę — z anielskim uśmiechem gotowego wstąpić na stopnie szubienicy, przenieść wszystkie katusze piekieł, zatracić duszę i ciało, byleby tylko ulżyć cierpieniom kraju — i widział, że to wszystko jest taką prawdą, jak dzień, jak słońce, jak istność Boga — o! ten zaprawdę nie odszedł od niego bez czci i uwielbienia.

Ja, com na niego patrzył u początku i u końca karyery; com znał z niewielu innymi tajniki jego

duży, com widział, jak wił się w laokonowych cierpieniach i rozbijał pierś swą pełną zapału o lodową obojętność ludzi, a nigdy, ani razu nie wydał jęku zwątpienia i narzekania; com patrzył, jak na najniebezpieczniejszym wyłomie zasłaniając braci sobą, wiązał watek rwącej się nici powstania; wśród zimy, bosy i głodny, posilał się ze żołnierskiego kociołka, na gołym spoczywał śniegu, odziewał się tem co mu dłoń rodaków gwałtem podała — a przecież wysokiem zaszczyty rządu odznaczony, rozporządzał tysiącami! — jeżeli tchu mi wystarczy, będę uważał za święty obowiązek głosić dzieje tego męża - męczennika.

Ze szczytu 20 stoczonych bitew rzucam wam obraz tego wodza, który w ciągu ośmiu miesięcy walki, wśród najokropniejszych ciosów, zawsze był gotów stawić czoło nieprzyjacielowi, i który bez żadnej urzędowej pomocy, jedynie potęgą miłości, w kilka tygodni liczne zorganizował i wywiódł na wojnę hufce.

Z tego stanowiska zapatrując się tylko, można wydać sprawiedliwy sąd o Marcinie Lelewelu; — a kto do mogiły bohatera zbliżyłby się bez wzruszenia, z lekceważeniem, lub uwłaczającym zdaniem, ten niechaj nie kala bluźnierstwem przybytku ofiary i poświęcenia — niech idzie dalej!...

XIII.

Zgon poety Romanowskiego.

XIX

X don pocy Homonowskiego.

XIII.

Idźmy Muzo! aby rzucić gałązkę wawrzynu na mogilniku Mieczysława Romanowskiego. I on zginął w oddziale wiekopomnego mieszczanina krakowskiego, który przybrał sobie nazwisko Lelewela, a którego czyny okryły go takim samym blaskiem, jakim promieniał i nasz znakomity Lelewel historyk.

Romanowski i Lelewel, obydwa rodem z Polski austriackiej, obydwa przepowiedzieli śmierć swoją.

Lelewel, kiedy wyruszał na boje, starym obyczajem wychylając kielich za pomyślność oręża polskiego, gdy mu wykrzyknięto: niech żyje Lelewel! odpowiedział: Lelewel niech ginie, tylko ojczyzna wolna i niepodległa niech żyje!

Mało komu przeznaczyły losy wznieść się nad poziom własną zdolnością i potęgą ducha — przywilej ten należy do istot wyjątkowych. Istoty te odczuwszy wszystkie cierpienia epoki, kochają też i boleją za wszystkich — bo one czują za miliony braci swoich. Taką istotą wybraną był ś. p. Mieczysław.

Romanowski, owa piękna gwiazda na polskim
horyzoncie, ulubiony piewca, jakby proroczym
duchem zwiastował zgon swój w prześlicznej
pieśni, która ozwała się jękiem, jak struna pę-
kająca pod ręką natchnionego mistrza.

Lećcie me pieśni! niech wam towarzyszy
Szczęśliwa gwiazda pod gościnne strzechy.
Zwiastujcie burzę śród gniotącej ciszy,
Smutnych pozdrówcie dźwiękami pociechy;
Lećcie, witajcie ludzi po kolei
Jak ptactwo wiosny okrzykiem nadziei.

* * *

Może już innych pierś ma nie wyśpiewa,
Może wy natchnień ostatniem wyrazem!...
Dni piorunowych serce się spodziewa,
Ztwardniała ręka tęskni za żelazem;
W powietrzu słychać pobudkę na boje!..
Już czas! już czas nam! — Lećcie pieśni moje!

* * *

O! gdyby kiedyś, po złamaniu wroga,
Polskiej krainie zaśpiewać na chwałę!..
Żegnajcie pieśni!... przyszłość w rękę Boga —
Z sztandarów w pole patrzą orły białe;
Wrzącym strumieniem krew po żyłach bieży,
Łono przebiega dreszcz, lecz serce wierzy.

* * *

Jeśli polegnę, niechaj mi w nagrodę
Za was, nie kładą pamięci kamienia.
Ziemią niech piersi przysypią mi młode;
Mój kurhan niech mi trawa ozielenia;
A gdy majowy deszcz ten kurhan zrosi,
Niech nad nim ptak się, jak mój duch, unosi.

Wielkie winy — mawiał Romanowski — dadzą się zmazać tylko wielkimi ofiarami, a zmartwychwstanie okupuje się tylko życiem.

Lecz zaprawdę, zbyt wielkiego okupu żądają niebios, kiedy to, co ziemia polska ma najdroższego, padać musi na szalę, której łązy i krew całego wieku przeważyć nie zdołały.

Nie tu miejsce sądzić poetę, unosić się nad pięknością jego utworów. Dosyć powiedzieć, że autor „Dziwczęcia z Sącza, Rzeczy mieszczańskiej z czasu wojny szwedzkiej roku 1655“ — „Łużeckich, Ustępu z wojen tureckich“ — tragedyi „Popiela i Piasta“ — i tylu innych mniejszych poezyj, nie zaginie nigdy w pamięci.

Dosyć powiedzieć, że zmarły w 29 wiośnie Mieczysław Romanowski, dowódzca przybocznej gwardyi Lelewela i audytor oddziału, jako człowiek i pisarz przez cały ciąg żywota miał tylko jeden cel, jedno życzenie, jedną dążność: zbawienie ukochanej ojczyzny. Sercem swem ogarnął cały naród; i bardonem o żelaznych strunach, kiedy w kraju zdawała się panować senność i milczenie śmierci, krzepił go na duchu, wlewając weń życie i dawną wiarę.

Jaki żywot, taki był i zgon Mieczysława.

Jak ojciec, najmłodsze dziecię zostawiający w kołysce, tak nasz bohater odbiegłszy ostatniego na kanwie myśli ledwie rozpoczętego dzieła (dramat Marfa, posadnica nowogrodz-

ka) zamienił pióro na oręż, pospieszył w szeregi współbraci nadstawiających pierś w obrońnię wolności i cywilizacyi przeciw barbarzyństwu.

Drugi raz powracając na pole chwały, w walnej utarczce z przeważnemi siłami dziczy moskiewskiej, ugodzony kulą w pierś w walce pod Józefowem, poległ za sprawę, której służył całe życie.

Jakby czuła, iż uległ jej zwierzęcej przemocy szermierz wolności, który ją tak nieubłagane gromił na innem polu, pastwiła się szarańcza moskiewska z szczególną zawziętością nad zwłokami rycerza-poety. Szukała tam może reszty ducha, myśląc, iż i tę zniszczyć będzie mogła.

Opadła bezwładnie ręka, stworzona równie do pióra jak do miecza; zamilkły na wieki usta, przez które lały się pieśni rzewne, gorące jak lawa; zawarły się oczy sokole, napięte w mglistą dal przyszłości, nie ujrzawszy wschodzącego słońca swobody — duch jednak zmarłego zamknął w pieśniach, które nam zostawił, żyć będzie wiecznie między nami, odradzać się i zamieniać w ciało — bo święte słowo ciałem się staje!...

Wincenty Pol pożegnał zwłoki ś. p. Mieczysława takim wyrazem uznania:

Duchowych natchnień Synu! wierne Polski dziecię,
Jako czuleś gorąco — takeś się w bój rzucił —

Ducha wylałeś w pieśni — krew ziemiś powrócił,
Więc czegoż jeszcze wy po nim płaczecie?

* * *

Był młodzian dwóch wieńców — daj mu Boże trzeci!
I niechaj wiekuista światłość duszy świeci!
Złóżcie ze cziąg dwa wieńce na pocziwym grobie,
I niech się nad nim słowik w ciszy lasów żali;
On się dobrze zasłużył — więc powiedzcie sobie:
W ślad dobrze zasłużonych nam potrzeba dalej...

Wszystko w tym — jak ci się powie,
Wszystko w tym — jak ci się powie.

Wszystko w tym — jak ci się powie,
Wszystko w tym — jak ci się powie.
Wszystko w tym — jak ci się powie,
Wszystko w tym — jak ci się powie.
Wszystko w tym — jak ci się powie,
Wszystko w tym — jak ci się powie.

XIV.

**Porównanie dwóch powstań:
1831 i 1863 r.**

XIV

Porównanie dróg powiatu:
1831 i 1863 r.

XIV.

I po tylu czynach bohaterskich, po tej świętej idei, która jak duch boży rozpostarła się od krańca do krańca nad uciemżonym krajem naszym, słyszymy jeszcze często indywidua śmiaćce potępiać powstanie 1863 r. i wszystko co ma z niem związek — dla tego, że się nie udało. Nieświadomi, nie wiedzą co czynią! Przypominają nam oni owe długouszate zwierzę, które w jakiejś bajce kopnęło bezbronnego lwa umierającego.

Gdy w Galicyi rozesłane zostało ogłoszenie, że: „Staraniem mieszczan miasta Sanoka odbędzie się tamże w dniu 30 października 1863 nabożeństwo za duszę ś. p. pułkownika Marcina Lelewela Borelowskiego i towarzyszyów jego“, dowiedzionem jest, że nikt ze szlachty tam się nie zjawił. Bo jakżeż można było pójść na egzekwie za powstańca, jakkolwiek bohatera, który dawniej był blacharzem?!...

Gorycz mimowolnie przejmując nasze serce, gdy tę kartę kreślimy.

Mniejsza o złych i przewrotnych! Bóg zatraci ich pokolenia — lecz ażeby objaśnić nieświadomych, którym wmawiają, że tylko rok 1831 wydał ostatecznie polskich rycerzy — weźmy w porównanie dwa powstania, te dwie ważne epoki nowożytnej historii naszej: jedną z 1831, drugą z 1863 r.

Obaczmy, jak się rzeczy miały, i osądzmy; spełnijmy kielich goryczy aż do dna:

W roku 1830 przed wybuchem listopadowym organizacja spiskowa, dążąca do powstania, obejmowała zaledwie kilkaset członków.

Szkoła podchorążych — po kilku oficerów w niektórych pułkach — kilku mieszczan i kilku szlachty — ot, i cała organizacja, całe koło spiskowe!

Powstanie wybuchło tylko w jednym miejscu, w stolicy; a taka była niepewność w celach i w środkach do celów, że zaraz nazajutrz przestało być powstaniem. Moskalom dozwolono wymaszerować jak najswobodniej; władzę zaś powstańcy oddali w te same ręce, które ją dotąd piastowały, i które nazajutrz, zaraz po powstaniu ogłosiły proklamację, wzywającą naród do pokoju i do rozejścia do domów — miano niby postarać się o to, że Mikołaj przywróci sprawiedliwe konstytucyjne rządy i wyda manifest przebaczenia.

Powstanie roku 1831 było więc tylko woj-skowem.

Narodu całego pod broń nie powołano — liczono tylko na wojsko. Jedna stanowcza bitwa przegrana, i wszystko się skończyło!

Chociaż początek powstania wyszedł ze szkoły podchorążych, przecież najpierwsze znakomitości arystokracji polskiej stanęły na czele. Sejm mikołajowski, z samej szlachty złożony, reprezentował naród i przenosił w jego imieniu władzę na dyktatora.

Trzydzieści trzy lat od owego czasu minęło. Inne czasy! myśli inne!...

Naród przeszedł ciężką próbę doświadczenia. Upadał często pod jarzmem, lecz uczucie narodowe rozbudzało się w coraz szerszych kręgach. Od szlachty schodziło w niższe słoje społeczeństwa; a chociaż nie przelało się jeszcze w lud wiejski, objęło jednak wszystkie warstwy między ludem a szlachtą, to jest: całe mieszczaństwo w większych i mniejszych grodach, rzemieślników sielskich, itd.

Po trzydziestu trzech latach znowu myśl powstania kiełkuje w Polsce — lecz na ten raz przybiera już zupełnie inną cechę. Rodzi się na bruku warszawskim — krzewi się w warsztatach i na poddaszach — a w końcu porywa nie jedną Warszawę, ale kraj cały. Ile jest miast i miasteczek, tyle tworzy się ognisk dla tej myśli.

Przysięga złączyła jej wyznawców.

Przed jawnym sądem warszawskim przytoczoną była rota tej strasznej przysięgi, że:

1) Z bronią w ręku powstaniem na wrogów naszych; nie będziemy prosić niczyjej pomocy; w Bogu tylko alianta mieć chcemy!

2) Przysięgam pokutę za grzechy moje i poprawę żywota mojego; w Bogu jedynie nadzieję mieć będę; pychy, kłamstwa i zemsty się wyrzekam, aby mi Bóg dopomógł i Matka Jego najświętsza, moja prawowita Królowa, w życiu i przy śmierci za mnie Ojczyznę.

3) Przysięgam, iż odtąd należę do Organizacyi Narodowej i wszystkie siły moje, życie i mienie poświęcam dla oswobodzenia Ojczyzny.

4) Przysięgam, że zawsze i wszędzie posłusznym będę rozkazom Organizacyi i zwierzchnikom przez nią ustanowionym.

5) Przysięgam, że sumiennie pełnić będę powierzone mi obowiązki, gotów na każde zawołanie na wskazanem mi miejscu stanąć do walki z ciemiężcami mojej Ojczyzny.

6) Przysięgam, że zachowam tajemnicę, na wolności jak we więzieniu — mimo najsroższych mąk — w milczeniu i nadziei moc moja.

7) Jeżeli bym miał tę przysięgę złamać i stać się zdrajcą Ojczyzny, niech mnie nie minie zasłużona kara od Boga i ludzi! Tak mi Boże dopomóż, Matko Najświętsza i wszyscy Święci.

(Dla innowierców stosowne odmiiany).

Forma Organizacyi ku wiadomości każdego zaprzysiężonego:

a) Dziesięciu zaprzysiężonych tworzy koło pod przewodnictwem dziesiętnika.

b) Dziesięciu dziesiętników stoi pod rozkazami setnika.

c) Dziesięciu setników pod rozkazami obwodowego.

d) Ława lwowska ma pod sobą Bukowinę, dwanaście obwodów wschodnich, i obsadza ławy obwodowe.

e) Zaprzysiężeni płacą stały podatek, każdy na ręce swego przełożonego.

f) Ludzie wiekowi, a nie mogący należeć do tej organizacyi, mającej urządzić siłę zbrojną, składają przysięgę na tajemnicę, zobowiązując się płacić stały podatek.

Przysięgę powyższą składali chłopci, tragarze, czeladź rzemieślnicza, często ludzie najubożsi i bez żadnej oświaty, nie umiejący ani pisać, ani czytać.

Organizacya tajna objęła cały naród, sięgnęła do każdego zakątka, nie wahała się zejść do chaty wieśniaczej, do najbiedniejszej komórki dziennego wyrobnika. I w kilku miesiącach doprowadziła do tego, że z samych groszów, które ta uboga ludność sprzysiężona składała, uezierała znaczne fundusze dla przygotowań powstańczych. A gdy hasło powstania wydał Komitet Centralny, na kilkudziesięciu punktach zbiera się po kilkuset sprzysiężonych i uderza na wojska moskiewskie.

Gdy przeciwnie, wspomnienia rewolucyi 1831 roku, równie świetnej odwagą małej liczby spiskowych i dzielnością wojowników, jak nieudolnej pod względem kierownictwa — ileż nasuwają myśli poważnych a smutnych?!...

Męstwo bitnego wojska, obfite zasoby materialne uzbierane w piętnastoletnim spokoju — to wszystko zostało zmarnowane. — Pomimo, że potęga narodu większą była niż kiedykolwiek od czasu rozbioru Polski, tyle przecież tkwiło bojaźliwości w legalnych przewodcach rewolucyi, że paraliżowali rozmyślnie wszelki ruch śmielszy, a straciwszy nadaremnie najlepszy czas, opuściwszy tyle chwil sposobnych do wywalczenia stanowczego zwycięztwa — ostatecznie zredukowali całą rzecz na bój kilku województw nadwiślańskich z olbrzymią monarchią północy, na pojedynek rycerski, w którym prócz sławy oręza nic zyskać nie można było.

Zamiast oprzeć granice Polski o żelazne słupy Chrobrego — bo była pora ku temu — zamykano się w kordonie opisanym traktatem wiedeńskiego kongresu. Lojalni panowie! Zamiast poruszyć wszystkie ziemie polskie, prowadzili wojnę regularnym żołnierzem wedle wszelkich przepisów rutyny strategicznej, strzegąc pilnie trójkąta fortec. *Horrendum!*

Następstwem takiego kierunku sprawy nie mogło być nic innego, jak klęska — a potem

swobodne rozgospodarowanie się Moskali na Po-
wiślu i silniejszy prąd wynarodowiania ziem za
Bugiem i Niemnem.

Na każdej niemal karcie dziejów listopado-
wego powstania czytamy tę okropną prawdę:
„nie niemogliśmy, ale nieumieliśmy!“

Zestawiwszy więc lata 1831 i 1863, widzimy
nadzwyczajną różnicę.

Charakter obydwóch powstań jest zupełnie
odmienny, świadczący, że naród przez czas za-
warty między powyższemi dwiema datami odby-
wał pracę organiczną, bo rozwijał poczucie naro-
dowe w niższych warstwach, bo wyrobił w nich
gotowość poświęcenia się bez granic, bo wyuczył
te masy, wciągnięte do organizacyi, posłuszeń-
stwa i karności, tak, że za danym rozkazem
stanęły do boju.

Z tego powodu, powstanie, jakkolwiek się nie
udało, zawsze jest dotykalmem świadectwem ży-
wotności narodu, który już cudzoziemcy uznali
byli za martwy. W czasie wojny sebastopolskiej
autor tej książki widział w porcie Hawru kartę
Europy w karykaturze, gdzie Rossya wyobrażoną
była jako niedźwiedź obrócony ku Turcyi mordą,
zakutą w kaganiec, którego dwa łańcuchy trzy-
mała Francya i Anglia. — W granicach zaś
Polski była pustynia, a w środku niej przeraża-
jąca trupia głowa na dwóch piszczelach, w ko-
ronie z kości trupich.

Ostatnie powstanie zmieniło te przedwczesne o nas sądy, i przeświadczyło o rozwoju naszym w ciągu lat trzydziestu. Powinno ono być wyrzutem sumienia dla tych, którzy stanąwszy na uboczu, przypatrywali mu się jak obojętni widzowie, zużywszy pierwiej wszystkie środki do jego sparaliżowania. Dla nich przyjemniejszy zapewne przedstawiał widok, wychodzący w 1831 roku za granicę kraju, na obczyznę, regularny korpus, z bronią i amunicją, wojska polskiego!...

Nie zbywało nam także niestety na ludziach, którzy grzeszyli brakiem wiary w powodzenie powstania. Ta niewiara dobijała to powstanie. „Wiara uzdrowia chorych, wiara daje zwycięstwo.“

Gdybyśmy wierzyli w uzdrowienie narodu z jego słabości, gdybyśmy wierzyli w jego siły, byliśmy zwyciężyli. Ci niewierzący częstokroć z największem poświęceniem oddali wszystko, mienie i życie złożyli na ołtarzu ojczyzny, ale swoją niewiarą zarażali innych, zabijali ducha narodowego, podobni do wampirów, wysysających najczyściejszą krew z organicznej istoty.

Cokolwiek bądź, powstanie r. 1863 jeżeli wybuchło przedwcześnie, jeżeli pociągnęło za sobą smutne skutki, nie znikło bez praktycznych korzyści. Jedną z najgłówniejszych, jest uwłaszczenie włościan.

Dokument dotyczący tego uwłaszczenia, a przytoczony tu poniżej, należy do najpiękniejszych objawów historyi naszej ostatnich czasów:

Hramota wiejskiemu ludowi. Powstawszy wraz z Polską i Litwą przedw panowaniu moskiewskiemu, aby zyskać wieczną wolność i szczęsną dolę dla całej naszej ojczyzny, oświadczamy przed Bogiem, całym światem i narodem, że innego szczęścia nie pragniemy dla drogiej naszej ojczyzny i nie szukamy go w niczem więcej, jak tylko w wolności, swobodzie, równości i szczęściu wszystkich mieszkańców, jakiegokolwiek są wiary i stanu. A pragnąc najwięcej szczęścia dla ludu wiejskiego, postanawiamy na wieczne czasy:

1. Lud wiejski w siołach i folwarkach pańskich i skarbowych, jednodworcy, czynszownicy i tak dalej, od tego dnia są wolni, swobodni i równi co do praw innym obywatelom ojczyzny.

2. Mogą i mają prawo przechodzić z miejsca na miejsce według upodobania i nikt im w tem przeszkadzać nie będzie.

3. Mogą i mają prawo uczyć się we wszelkich szkołach i być w krajowej służbie zarówno z innymi obywatelami ojczyzny.

4. Wraz z innymi mają prawo wybierać z pomiędzy siebie deputowanych do sądów, rad i urzędów wiejskich, powiatowych, ziemskich i najwyższych państwowych.

5. Sądzić się i rządzić będą na równi z innymi, tylko przez swoje sądy i urzędy, złożone z deputowanych, mających strzedz świętej sprawiedliwości, praw i bezpieczeństwa osób i mienia każdego.

6. Podatki narodowe, ziemiańskie powinności i ludzi do wojska narodowego, będą dawać tylko za postanowieniem i przyzwoleniem sejmu państwowego, złożonego z deputowanych całej ojczyzny.

7. Ziemie orne, sianożęcia i sadyby pańskie i skarbowe, które za czynsz, albo za odrobek, albo za wykup trzymali włościanie, będą od niniejszego dnia po wieczne czasy własnością każdego gospodarza bez żadnej za nie zapłaty. Dziedzicom za te ich ziemie zapłaci skarb narodowy.

8. Co do udzielenia ziemi włościanom, którzy jej dotąd nie mieli, jako to: budnicy, bobyle, chałupnicy, ludzie dworsey i t. d., postanowi w stosownym czasie najwyższy sejm państwowy.

9. Jednodworcy i szlachta czynszowa będą na równi z włościanami na wieczne czasy mieć ziemię sadybną i gruntową z ziem pańskich, gdzie jej będzie podostatkiem, za zapłatę ze skarbu narodowego, albo z ziem koronnych.

10. Wiejskim księżom prawosławnym oprócz ziemi cerkiewnej naznaczamy płać w pieniądzech, aby nie potrzebowali od ludu zapłaty za duchowne posługi; a ile przypadnie płacy każdemu księdzu, orzecze najwyższy sejm państwowy.

11. Prócz tego, co się wyżej powiedziało, każdemu, kto chwyci z nami za oręż przeciw

panowaniu moskiewskiemu, i albo zdrów wyjdzie albo rannym zostanie, udzieli się najmniej sześć morgów ziemi i sadybę w ziemiach koronnych, albo dożywotnią płacę ze skarbu narodowego.

12. Nadając wiejskiemu ludowi wyż wykazane prawa wolności i obywatelskiej równości wszystkich wobec każdego, poręczamy i na wieki obiecujemy swobodę praw i wiary, jakiej się kto trzyma, i używanie swego języka w szkołach, sądach i innych ziemskich urzędach.

Co wszystko wyżwypisane ogłaszając wiejskiemu ludowi Podola, Wołynia i Ukrainy (w języku ruskim, czcionkami kirylickimi) — zachowanie i obronę praw, tą hramotą nadanych, zaprzysięgamy w obec narodu, całego świata i Boga wszechmogącego. Bożej opiece poruczając dolę ludu, któremu wiecznego życzymy dobra, dodajemy tę oto hramotę do wołosnego urzędu na każdą włość.

(L. S.) Tymczasowy Rząd narodowy.

XV.

Odwrotna strona medalu.

XV.

Bolesławita opisując Galicyę w książce pod tytułem: „1866 roku Rachunki“ wyrzekł: „Przybyły z innej prowincyi jest tu prawie obcym; Krakowianie odsuwają się od właściwych Galicyan... Cóż dopiero Poznańczyk, emigrant, lub przybłęda z Kongresówki! Nawet na obcej zupełnie ziemi mniej sympatycznego trudno się doczekać przyjęcia.... Zdaje się biednym Haliżanom, że ten wędrowiec wydycha im ich powietrze, wyje ich chleb... wypije wodę i wysie złotodajną naftę“.

Słowa powyższe do Sanockiego nie dadzą się zastosować, chociaż i tutaj, jak wszędzie, nie ma ziarn bez plewy.

Sanockie, otoczone górami, zachowało jeszcze gościnność nie skażoną przez obczyznę, pomimo, że zdołały się tam już przecisnąć przez wąwozy rodziny napływowych z ościennych mocarstw przybłędów, i że niektóre z tych mają pretensje do narzucania cywilizacyi samolubstwa i smaku giermańskiego mieszkańcom, pomiędzy którymi kawałek chleba znalazły.

Cokolwiek bądź, zostawiwszy je na stronie, Sanockie jest może rzadkim zakątkiem w Europie, gdzie ludzie pozostali takimi, jakimi byli ich ojcowie przed laty stoma.

Z drugiej strony, brak rozwoju przemysłu, skutkiem wielu przeszkód ku temu, brak komunikacyi, życie uosobnione, samoistość na kawałkach roli, sprawia, że znajduje się tam mnóstwo wydatnych typów, dobrych strzelców, dobrych jeźdźców, handlarzy koni, pretendentów do posażnych panien, bigotów, oryginalnych postaci, któreby trudno napotkać gdzieindziej. Zdarza się też czasem napotykać postacie młodych ludzi, które mimowolnie przypominają Opryszków przebranych we fraki, chociaż wyglądają im z kieszeni świadectwa z jakichś odbytych studyów austriackich.

Nigdzie życie zaściankowe, kosztem żywota narodowego, nie rozwinęło się tak jak tam!

W Sanockim wybuchają wprawdzie niekiedy fajerwerkowe popędy do czynu, lecz następuje po nich przesilenie, jak u chorych po paroksyzmie. Niemal każdy zasklepia się w chacie, jak ślimak w skorupie, i myśli tylko (choć nic nie wymyśli) o robieniu pieniędzy, lub zabija niepowrotny czas na grze w karty.

Znałem i takich, którym się zdaje, że dosyć się urodzić, aby żyć. Parcie pracującej siły, którem się dobija prawa do życia, jest dla nich niepojętem.

O zaspokojeniu wyższych pragnień, przez co umysł by się wzbogacił a duch dojrzał, o rozwinięciu wzniosłych uczuć i wysokich pojęć — nie ma mowy. Sanoczenie w ogóle znają prawdy pospolite, zastosowane do życia praktycznego, rzekłbym: fizycznego, sądząc, że cała wiedza człowieka jest w nich zamknięta, że zdobyli kamień filozoficzny — i że nie potrzebują, jak mówią, bawić się w poezję. Brak to głębszego wykształcenia! Dla tego w rozmowach, znane, oklepiane pewniki zabierają im dużo czasu; zastanawiają się niby nad nimi, rezonują, nie dochodząc do wyższych pojęć i rozwiązań.

To życie bez myśli, to życie niedołęztwa drzemającego, przerywane tylko rzutami gorączkowemi, po których następuje większe jeszcze zniedołężnienie — tak cechujące dzisiejszych reprezentantów ludności galicyjskiej — odejmuje nam władzę głębszego myślenia, by się tak wyrazić — ospałym wzrokiem nie postrzegamy chwili ważnej, gdy się nam nasuwa — w ociążałości naszej nie chwytności do dźwigania się, gdy sposobność taka w ręce się nam ciśnie — a godziny najdroższego czasu upływają nam jednostajnie, ponuro, podobne do procesyi zakapturzonych czarnych widziadeł, bez żadnych rysów twarzy, strasznych, przerażających.

I przy tylu pozornych objawach wzmagającej się siły żywotnej, zapadamy rzeczywiście w nie-

moc coraz większą. Bo gotowi jesteśmy do trudów i ofiar, lecz nie do pracy, to jest do tej pracy, która jedynie jest pracą w znaczeniu właściwym, bez której ani człowiek ani naród dźwignąć się nie może do potęgi twórczej, a choćby tylko do światła jakiegokolwiek — to jest do pracy myśli własnej.

Dla tego przyjmujemy wszystko, co inni dla nas obmyślą — byleśmy sami nad tem myśleć nie potrzebowali — bo to rzecz „pedantyczna, niegodna Polaka“.

Otóż naturalnym wynikiem tego jest, że prawimy o oświacie, a jesteśmy w ciemocie; że na miejsce prawdy stają sofizmy jaskrawe i kręte manowce.

Książka jest uważaną za rzecz zbytkową; to, coby kosztowała lepiej wydać na papierowe obicia łudzące oko. Materyalizm, materyalizm!...

Literatura ogranicza się przeważnie do niemieckiego Bazaru mód, kalendarza z obrazkami i kapryśnej Narodówki — zapomniałem dodać Złotego Ołtarzyka; — a jeżeli już co więcej jest czytowane przez klasę możniejszą, to francuzkie tuzinkowe romanse, rozbudzające przedwcześnie zmysłowość, przez co ludność karłowacieje i do upadku dąży. Osoby tylko wyjątkowe czytają coś lepszego; lecz są to pracownicy, myśliciele, na których wprawdzie nie zbywa, lecz na palcach policzyćby ich można.

Najlepszą miarą wykształcenia duchowego możniejszych obywateli w Sanockim jest to, że zabronili guwernantkom swych dzieci znajdowania się na balach, na które sami z żonami i córkami uczęszczali, z wyjątkiem jednej, jako pokrewnionej z pewnym właścicielem nieruchomości wiejskiej. Fakt to prawie nie do uwierzenia — a jednakże miał miejsce podczas karnawału 1866 r. Żaden z Sanoczan, uderzywszy się w piersi, zaprzeczyć mu niepotrafi. Nie chcę wymieniać po nazwisku indywiduów, co ten zwyczaj, którego się powstydzili Chińczycy, wprowadzić usiłowali, przez obawę, żeby mię kto nie posądził o oczernienie spokojnych osobistości. Dalekim jestem od tego, jakkolwiek nie należę do żadnego towarzystwa wzajemnej adoracyi.

Trudno zaprawdę podziwiać ludzi, którzy wyraźny okazują wstręt do wszelkiej nauki, a nie kształcąc dzieci swoich na dobrych obywateli i obywatelki, przynoszą szkodę krajowi. Trudno podziwiać ludzi, którym się zdaje, że wykaz tabularny na posiadłość ziemską (już nie powiem wykaz — szlachectwa; bo ono u większej części tych ludzi bardzo zagadkowe, choć nakryte herbami) jest zarazem tytułem do lenistwa umysłowego, przywilejem na przodkowanie innym, i kartą bezpieczeństwa, z którą łatwo na drodze życia prześliznąć się można.

To też całe ich życie jest ciągłą ślizgawką.

Młodzieniaszek, co za ledwie wyszedł z czwartej klasy, co szkół nie skończył ani jego osobę szkoły ukończyły, jeździ na wszystkie wesela, jarmarki, odpusty, kuligi, bale, imieniny, urodziny i wszędzie się ślizga, do taktu, przy muzyce, mając wielkie wzięcie, — rozumie się, póśród kasty swojej.

Potem odziedzicza kawał ziemi zadłużonej, i znowu żywot jego jest ślizgawką krętymi ścieżkami wśród wierzyieli. Nareszcie, wstydzając się pracy, traci spuściznę, której utrzymać nie mógł; — ale zostaje mu kocz z czwórka... i kredyt u żydów, ostatnia kotwica przyszłej szczęśliwości, gdyż konkuruje o posażną pannę. Starsze matrony popierają go w zamiarach, bo jakże nie pomódz kawalerowi dobrego tonu, biedniatku, należącemu do ich kółka?! Utrefiony adonis po długich zalecankach oświadcza się nakoniec pięknej blondynce, niewinnej owieczce z anielskim wejrzeniem — i jest przez nią i przez rodziców przyjętym.

Rodzice nie wątpią o wysokim rozumie zięcia; zięć zachwycony narzeczoną, co umie brząkać na fortepianie i nauczyła się na pamięć dwudziestu frazesów francuzkich — wstydu mu nie robi.

Następują ślubne gody. Czwórki i liberye zaproszonych gości ledwo się pomieszczą na dziedzińcu — w salonach huczno i gwarno — toasty krążą — a co za kontusze! jakie lite pasy! ich

blask aż mroczy; — co za buńczuczne miny biesiadników! weselisko trwa trzy doby, starym zwyczajem. Tymczasem żydkowie oczekują niecierpliwie, rychło się skończy — pozwalają przecież panu młodemu odetchnąć trochę, pocieszyć się po frasunkach kłopotliwej przeszłości, i zakładają na niego nowe sieci.

W końcu pan młody płaci wspaniałomyślnie z procentami, co komu winien; wyprowadza godną połowicę na widownię świata, gdzie ujawszy się pod boki ślizgają się razem. Najczęściej karyera nowożeńców kończy się tem, że przybyły Prusak zakupuje u nich resztki ojcowizny, a sami szukają szczęścia w loteryi lub w czemś podobnem do loteryi....

Jedno nadto z nieszczęść, mające związek z powyżej przytoczonem, a które przeskoczyło już góry i zapleniło się jak dżuma na uroczych dolinach sanockich, jak podobno i w całej Galilei, jest choroba na arystokrację — rzeczywista plaga!

Nie wchodząc w to, że Polacy niegdyś krwawą walką zdobyli dla się prawo zesłania na banicję każdego, ktoby sobie nadawał próżne tytuły, u obywateli w Polsce austryackiej przywłaszczanie sobie takowych stoi na porządku dziennym.

W Kongresówce zwykli to tylko czynić żydzi przechrzczeni — tak zwani mechesi.

W Galicyi namnożyło się mnóstwo jakichś hrabiów, baronów, o których ani się śniło komu przed niedawnemi czasy. Niektórzy znaczne płacą rządowi pieniądze, bo po 12000, wyraźnie dwanaście tysięcy złotych reńskich taksy, za te wcale nie tradycyjne, ale puste, bez znaczenia nazwy.

Łaskawy rząd nie szczędzi im takowych, chcąc zadosyć uczynić uprzejmej prośbie szlachejnych poddanych.

Żeniący się z księżniczkami, choć nie są książętami po mieczu, uważają się za książąt po kądzieli.

Zajdź tylko do którego domu niby szlacheckiego i przeglądaj złożone tam w zgrabnym koszyczku, cenionym jako klejnot domowy, karty wizytowe! Napotkasz często na nich nazwisko znanego ci, ubogiego, zadłużonego hreczkosieja, owsiaka. Chociaż nazwisko Niesiecki pomiął w swoim herbarzu, to jednak nie przeszkadza, aby nie było poprzedzone najmniej tytułem „*chevalier*“ i nie dźwigało nad sobą korony o pięciu lub siedmiu pałkach.

Znamionuje to upadek i niemoc. Ludzie nieudolni, nie mogąc się odznaczyć naukowym tytułem doktora, magistra, mecenas, i t. p. odznaczają się — pałkami.

Im większa ich liczba w koronie, tem większa godność!

Ale ostrożnie mości panowie! Im dłużej żyjemy, tem niebezpieczniej jest wywyższać się nad bliźniego podobnym termometrem swych uczuć.

Na zakończenie ustępu przytaczam korespondencyę napisaną przez rodowitego Sanoczanina do Dziennika lwowskiego:

Z Sanockiego dnia 31 grudnia 1867. Słyszymy i czytamy o rozmaitych wielce dobroczynnych stowarzyszeniach, pozaprowadzanych w kraju naszym, ale dzięki wybranym ojcom powiatu i delegatom zakątka naszego w Galicyi najbiedniejszego, u nas w tym względzie cichutko. — Cicho tu wszędzie, głucho wszędzie, co to będzie, co to będzie! Słowa te wieszczą naszego jakby dla ziemi sanockiej napisane umyślnie!

Słysnęła dawniej ziemia sanocka spójnią, solidarnością wszystkich stanów; świeciła ona i w historyi Barskiej — Umiano tu wrogów bić, przyjaciół kochać. Biliśmy obczyznę, kochaliśmy swojszczyznę. — Byliśmy do szabli i do szklanki. Ziemie inne ojczyzny naszej szerokiej zazdrościły w tym względzie sanockiemu ziemstwu. Pisano też o nas wiele zaszczytnego po gazetach i książkach historycznych i powieściowych, bośmy przodowali innym ziemiom naszym.

Dziś wszystko inaczej.

Co gdzie o ziemi sanockiej napiszą, to albo o intrygach i plotkach, albo o smutnych licytacyach,

sprzedaży dóbr najdawniejszych tej ziemi szlacheckich domów.

Wybory październikowe i lutowe zapełniały szpalty wszystkich gazet krajowych. Wybrano nam ojców powiatu takich, że nie ma obawy niepotwierdzenia ich we Lwowie i Wiedniu. Poprzysyłano wezwania, polecenia mnogie z rozmaitych chwalebnych komitetów wielu; ale o czynnościach rad powiatowych, towarzystw officialistów prywatnych, rektyfikacyi spiritusów, filii gospodarczej i t. d. cichutko tu u nas.

Za te uszczerbki i braki mamy tylko do syta intryg, plotek, bajek, poduszczań i rozdwojeń. W tej niecnej czynności widać skrzętność, energię sił nie zorganizowanej falangi, godną lepszej sprawy. Temi krótkimi słowy chcemy z końcem roku uskarżyć się o to publicznie, czego nam brak, a czego mamy za nadto; chcemy śpiących obudzić, niegodnie działających do snu zakołysać. Daj Boże, abyśmy, co inne powiaty otrzymały dobrego w starym roku, my otrzymali choć na ostatku, w roku nowym. Niech energja w złem zmieni się w energję w dobrem. Niech by my też mieli choć raz tę przyjemność, choć odrobinę dobrego usłyszeć, napisać, przeczytać o ziemi sanockiej.

Podczas wyborów do sejmu galicyjskiego, pomiędzy mieszkańcami sanockiego obwodu potwo-
rzyły się przedwyborcze zgromadzenia z wła-
ścicieli większych posiadłości, t. j. płacących
rządowi podatku przeszło sto zł. reń.; tudzież
z właścicieli mniejszych, do których należą
włościanie; z mieszczan i przemysłowców.

Radzono nad przyszłymi posłami — ten sobie
gadał, i ów sobie gadał — wołano nie pozwa-
la m! — rozchodzono się, waśniono — ktoś tam
w sali zawołał: „niech kuzyn kuzyna nie popiera,
by obydwu nie zeszli na dziady“ — rozmiano
się, i znowu skupiono, i znowu naradzano, jak
to zwykle bywa przy ważnych wyborach.

A dziwna rzecz, że i w tak luźnem zgroma-
dzeniu, i tu nawet dawało się spostrzegać przy-
wiązywanie się do zbytniego formalizmu,
który do dziś dnia jest cechą tak Wydziału
krajowego, jako i niemal wszystkich stowarzy-
szeń. Jestto wynik biurokratycznego ducha,
z którego Galicyi otrząsnąć się trudno.

Agitacya między chłopami była łatwą do prze-
prowadzenia, gdyż każdy z kandydatów na posła
mógł mieć za sobą chłopskie głosy za małe
pieniądze; ale ileż to zabiegów i intryg pomię-
dzy samą szlachtą o tytuł poselski... któryby
najmniej kosztował. Jeżeli miód mógł wynieść
Piasta na króla, dla czegożby smaczny obiad
nie miał wynieść pana brata szlachcica na ga-

licyjskiego posła?!. Walka osobistych ambicyi była widoczną — walka ludzi dobijających się w ten sposób znaczenia — ponieważ droga rzetelnej pracy i prawdziwej zasługi jest im zbyt uciążliwą. Dla takich urząd z wyborów nie staje się środkiem ale celem. A gdy wyborcy nie usuwają podobnych natrętów, to mogą być pewni, że wybrani dygnitarze uważać ich będą za *misera contribuens plebs*....

Muza moja nie ma natchnienia opiewać jałowej walki o poselstwo; lecz dołączony poniżej autentyczny list, który mi łaskawie udzielono — ów nader ciekawy a przemądry dziwoląg jezuicko-literacki — posłuży za dowód, że nie tylko Stany Zjednoczone Ameryki północnej, Francya i Anglia, lecz i Sanockie ma swoich agitatorów politycznych — a jakich agitatorów! — Pan A. V., Sanoczanin, pisze do księdza wikarego w ten sposób:

Kochany Bronisławie!

„Jesteś młodym, czerstwym, zdrowym; a w takim stosunku przymiotowości cielesnych idea śmierci ani się pojąć, tem mniej wyobrazić, a już zgoła wcielić i uczuć się nie dozwala. A przecież nikt nie pojmie w całości idei żywota, kto jej nie minie — a nikt jej minąć nie może bez wstąpienia na ideę śmierci! Zaś, aby minąć ideę żywota, aby ją w pełni swej rozpoznać, trzeba koniecznie z kategorjami jej się oswoić:

Że więc kategorii tych troistość: pierwiastkiem i początkiem swym dotyka życia człowieka w oderwanem pojęciu, to jest w uposażeniu absolutnej wolności; że wtórością i środkiem tych kategorii żywot człowieka dotyka się społeczności podobnie do siebie stworzonych czyli bliźnich; że trzecia i ostatnia kategoria dotyka związku jego z Bogiem; — o tem Księdzu mówić, znaczyłoby wodę nosić do Sanu.

Mimo to, Bronisławie! „*der Sirenen - Gesang der absolut-gesellschaftlichen Emancipations-Tendenz hat deine Sinne bestrickt!*“...

Baczność Synu Chrystusa! albowiem doskonałe i najdoskonalsze przejęcie się myślą z kategorii wtórej żywota, z doskonałym pojęciem żywota w oderwanym sensie społecznego... nie jest jeszcze dokonaniem pojęciem żywota z trzech kategorii się składającego! Więc, abyś się nie stał podobnym owym, o których Chrystus mówi: „nawet teraz będą szukać śmierci, ale jej nie znajdą.“

O Bronisławie! o bracie! o człowieku! wołałbym Cię widzieć pod krzyżem walki, z ciałem na łożu rozkoszy i rozpusty upadłego, niżeli w więzach onej syreny, przez schlebianie fałszywej ambicji, miłości własnej, zarozumiałości i próżności, duszę wybranych jak muszkę w sidła pajęczyny nawodzącej.

Bronisławie! jako powinowaty, jako przyjaciel, jako Chrześcijanin, winienem zwrócić uwagę Twoję

na drogę, po której krocząc dążysz do realnego i spiritualnego upadku, mimo, że kroki Twe pierwsze dobrymi były. Zbłądź mnie, wydrwij, wykluć, wybij jeżeli chcesz, ale przeczytaj dwa razy nim spalisz ten list, a paląc go poczynaj jeszcze od głowy i czytaj nawiasem raz trzeci.

Bracie! *Saltus in natura non datur*, a każdy *spiritus in mundus* gorąco kąpany. *Festina lente!!!* a tyś się dał pociągnąć *dem im Sturmschritte anherrennenden Zeitgeiste*; Ty, syn ducha wiecznego przyjąłeś służbę w szeregu ducha czasu!

Ależ to duch zmiany, duch mody! Ależ duchów takich od ery Kościoła chrystusowego, i począwszy od Ariusza, dziesiątkami naliczysz. Broniu! co w czasie się poczęło, z czasem zaginie, a z nim zaginą wszyscy, którzy wiarę, miłość i nadzieję w nim pokładali. Broniu! nie pomoże oświecać zewnątrz głowy, gdzie światła sercom nie staje — *ihr schafft nur übertünchte Gräber! und der Geist, den ich diesen Lebendig-Todten intuit, wird sieben mal Aergeres wirken, als bevor er aus diesen nun leer stehenden Häusern hinausgetrieben war.*

Bronisławie! księżu! jeszcze czas! jeszcze biskup o udziale Twym w dążnościach karbo-naryzmu nie wie; jeszcze rząd w bezsile się znajdując chwilowej, czerwonym ołówkiem Cię nie zanotował; — jeszcze, jeszcze śmiałą, nie-przewidzianą wersją, nie tylko w osłupienie, nie-

tylko w stan paraliżu rzucić możesz ufającego, za kupionego sobie poczytującego Cię, karbonyzmu literackiego i prawa uczono-faryzeuszowskiego — lecz jeszcze, zwłaszcza jak dziś rzeczy stoją — Ty — Ty za narzędzie im służący, możesz mistrza odegrać rolę, a rolę tak stanowczą, tak imponującą, że czynem swym nie tylko w konfuzję niesłychaną rzucić możesz duchy Treterów, Popielów, Łobaczewskich i Grosów; ale nadto — głowę, gardło i rękę kładę — wystąpieniem doniosłej genialności, a raczej wyższości ducha, opanowując umysły tu i w okolicy, wieścią ujarzmione, wybór na posła do sejmu, państwowego nawet, minąć Cię nie może.

Bronisławie! *ein Staatsstreich!* a imię Twoje należeć będzie do historyi wieku! a głos Twój ważyć będzie na szali wyroków los i przyszłość Chrześcian i Kościoła Polski! Od Ciebie zależy!... albowiem duch ogółu, duch mas ślepy, przygotowanym jest do poświadczenia prawdzie.

Bronisławie! Ta masa pociągniona mieszczań już się opamiętywa — już się zastanawia — *ein Wort zur Zeit*, a masa ta, jak jeden mąż, stanie za Tobą — a pisma uczeni jak szczury pochowają się w dziury! A taże ziemia sanocka, taże koszula żelazna Polski, nie miałażby siły duchem swym natchnąć Cię do cudownego przekształcenia polskiej społeczności?...

Jeżliś rad — rady, objaśnień, ducha — Bóg
mi go dał darmo i — ja go darmo udzielę.“ —

Wyzywam wszystkich panów literatów, czy
który coś podobnego napisać potrafi!?...

XVI.

Wybory na posłów. Redakcyja.

XVI.

Miałem sen ciężki, okropny,
Zbrodniostanowy, fatalny,
Śniłem — że jestem Polakiem,
Ja... Galileusz lojalny!

* * *

Jak mogłem śnić coś takiego,
Ja powiatowy marszałek?!
Kiedym się zbudził, za karę
Dałbym był sobie sto pałek!

* * *

I dotąd jeszcze się gryzę,
Darować nie mogąc sobie;
Ach — przebacz, Wysoki Rządzie,
Już tego nigdy nie zrobię!

„Chochlik“.

Pewnego pięknego poranku grono obywateli zważywszy, że liczba gazet polskich będąc nader szczupłą, wypadaloby w ważnych chwilach wyborów mieć swój własny organ, aby wywierać moralny wpływ na okolicę, postanowili założyć nowe pismo pod tyt.: „Listy Sanockie“.

Utworzono w tym celu, czy też miano utworzyć akcyje, obrano z pomiędzy siebie pisarzy,

i współpracownictwo ofiarowano Henrykowi, z którym zapoznaliśmy Czytelnika w pierwszym rozdziale tej książki.

Uszczęśliwiony ów emigrant, co wrócił do kraju nie dla tego, aby być w nim pasożytem, lecz żeby ostatnie, jakkolwiek nadwątlone nie-szczęściami siły, poświęcić dla dobra publicznego, z wdzięcznością przyjął posadę i zajął się pracą.

Jakże świetne rokował on nadzieje dla nowego czasopisma, wyrazu zasad i przekonań, jak mniemał, wolnego od płatnej liberyi!

Ale im one nadzieje były świetniejszemi tem przykrzejszego w prędcę doznał rozczarowania.

Cała rzecz, że Henryk nie był wcielony dostatecznie w stosunki miejscowe.

Posiadał on w wysokim stopniu sens moralny zasad, zasad chrześcijańsko - demokratycznych. Dążności absolutyzmu nigdy nie podzielał. W sprawach publicznych zwykł być oględnym na przesady odwieczne i zastarzałe, na zakorzenione instytucye miejscowe, bo zgłębiał dzieje narodów, tę wielką księgę doświadczenia.

Rozumiał tolerancję nawet dla pewnych na-łogowych niesprawiedliwości, mających za sobą powagę zwyczaju i czasu, o ile one nie wyrządzały zbyt szkodliwego złego. Nie należał także do liczby przybyszów obojętnych na los zamożnych obywateli, albo im nie przychylnych przez niecną zazdrość, jedynie dla tego, iż byli zamożnymi.

Z goryczą więc ujrzał, iż ci sami obywatele podzielili się na szaraczków i karmazy-nów, jak się nazwali — ujrzał absolutyzm obustronny, brak zgody i jedności, i co gorsza prześladowanie wzajemne.... dwie siły: twórczą i niszczącą.

Konserwatyści nie mogli, czy nie chcieli pojąć, że potrzebni są ludzie postępowi, którzy by im dawali bodźca, aby ich wydobyć z zacofania i stagnacyi; — postępowi namiętnie występowali przeciw konserwatystom, jak gdyby tradycja już tylko trupią woń po sobie zostawiła. Obustronnie brak dojrzałości politycznej!

Za szaraczkami przemawiała wprawdzie pewna, chociaż względna słuszość, lecz zbywało im na tej organizacyi, jaką posiadali karmazy-ni, owi zwolennicy Ignacego Lojoli, już to z zasady, już z mody. Ci ostatni majątniejsi, mający liczne stosunki, czerpiący natchnienie od pana Z....., przybyłego z nad Sekwany ajenta pewnego hotelu z przyległościami, złączonego bezpośrednio i pośrednio ze wszystkimi na kuli ziemskiej jenerałami jezuitów sukienkowych i fraczkowych, brali przewagę.

Henryk przewidując, że w takim stanie rzeczy prace jego byłyby płonnemi, usunął się od redakcyi.

Wtedy obywatele „partyi postępowej“ wydali sami pierwsze dwa numera „Listów Sanockich,“

gdzie dotknięte zostały osobistości; a to skutkiem ubiegania się o nieszczęsne poselstwo.

Ponieważ dziś dla dociekania zdarzeń i zapuszczania się w tajniki ludzi, wszystko posłużyć może pisarzowi, zarówno archiwa, jak i gazety, listy, domowe zapiski, dokumenta trybunalskie, gabinetowe tajemnice, i t. d. nie od rzeczy będzie przytoczyć tu owe „Listy Sanockie,“ (tem bardziej, że zostały wyniszczone), jako cechę agitacyi, wyborów, dążeń i zasad. Niechaj Sanoczanie sami za siebie mówią; tem wiarygodniejsze będzie sprawozdanie, tem oględniejszą musi być krytyka, którą w podobnych razach zastępuje najczęściej przemilczenie!

I.

Z pod Ustrzyk — 12 stycznia 1867.— Jeden Schmerling za mało w Sanockim. Nowa ustawa wyborcza dla szlachty.

Zbliżająca się chwila nowych wyborów do sejmku wywołuje wielki ruch w Sanockim. Partya familiantów t. j. ta, która, jak to niedawno pisał korespondent z Sanoka, pomimo najsilniejszych argumentacyi za M., *) wołała: „W. naszym posłem!“ uwija się najgorliwiej. Uorganizowała się najwcześniej, ma swoje głowy, swych adjutantów i swoich galopenów; a, by znów nie zrobić nowego *fiasco*, wymyśliła już środek, jaki ją niezawodnie do celu doprowadzić musi.

*) _Opuszczamy imiona własne osób.

Debatowano, naradzano się długo; wszystkie środki zaradcze, tu i ówdzie podawane, okazały się jednak mniej pewne; chwycono się więc ostatecznie pocziwego Schmerlinga. Przypomniano sobie, że i kraj cały i sejm dotychczasowy narzekali ciągle na ustawę schmerlingowską, i że dzisiejsza ustawa wyborcza wprowadza z konieczności do sejmu żywioł ciemny i szkodliwy; a więc wniosek: że właśnie tem, czem Schmerling krajowi szkodził, może pomódz familiantom! Zaczęto rozbierać jego ustawę i rzeczywiście znaleziono to, czego szukano. Najszkodliwszym w niej dla kraju jest podział na stany, wybór z pewnych kuryi, nareszcie w mniejszych posiadłościach wybory pośrednie — właśnie te wady dla kraju, muszą być najzbawienniejsze dla familiantów.

Uznawszy zasadę, zastosowano ją do swych interesów, i oto nowa ustawa wyborcza dla szlachty:

1) Szlachta dzieli się na dwie klasy: na szlachtę karmazyny i na szlachtę bez dodatku (odkrywając ukryte myśli familiantów, dałbym jej dodatek przez opisanie: Szlachta, co nie zapleśniała w pargaminach i postępuje z czasem; — a jeżeli idzie o oznaczenie jednym słowem: Szlachta szaraczkowa). Do pierwszej należą ci tylko, co się według pojęcia familiantów w obwodzie najlepiej urodzili (*sic!*) lub przynajmniej, co że tak

jest, wmówić w siebie potrafil; do drugiej reszta szlachty, choćby ją nawet Niesiecki i Paprocki wyżej stawiał od pierwszej.

2) Wybierać na posła można tylko z jednej kuryi, rozumie się z kuryi pierwszej karmazynów, bo tylko ci są *legati nati*, bo karmazyni są jedynie powołani do rządu — szaraki do ich uwielbiania.

3) Aby odciąć możność wybierania także z kuryi drugiej, bo w masie mógłby się ktoś znaleźć, coby śmiał nie uznać najjaśniejszych prawd powyższych — zaprowadza się wybory pośrednie w ten sposób, że szlachta ma tylko prawo wybierania delegatów powiatowych, t. j. w obwodzie sanockim 14 delegatów, a dopiero ci delegaci wybierają posłów; szlachta głosuje tylko na tych, których delegaci wybierają. Szlachta olśniona karmazynem swego powiatu, oczywiście nie odważy się wybrać na delegata kogo innego, a 14 delegatów karmazynów jeszcze oczywiście nie wybiorą na posła nie-karmazyna. Myśl wyborcza, przeprowadzenie najłoićniejszej, a skutek najpewniejszy. Niech żyje zbawca i dobrodziej, wiekopomny Schmerling!

Rozdzielono role, ułożono obowiązujące deklaracye, zaopatrzono niemi kieszenie galopenów i rozesłano ich w świat. Jeżdżą galopeny, uwijają się adjutanci — tu i ówdzie głowa — Schmerling się rusza. Czem kto więcej zbierze podpisów na to, że tylko delegatów chcą wybierać,

tem więcej zasłuży się sprawie. Szlachta częścią daje podpisy, częścią nie; — karmazyni oczywiście z wdzięcznością je dają dla swych mądrych głów; z szaraków niespodzianie zajechanych jedni czynią to bezmyślnie lub przez wrodzoną polską uprzejmość dla gościa — drudzy odmawiają podpisu. Do ostatnich należę i ja; a dla czego? z przywary gadulstwa opowiem:

Niespodziewanie zostałem zaszczycony odwiedzinami, i to jednego z starszyny, a którego, nie przypominam już sobie, czym widział kiedy u siebie? Po zwykłych grzecznościach, zaczyna mię przekonywać o niepraktyczności wybierania posłów przez masy, o burzliwości zgromadzeń przedwyborczych, o korzyściach wyboru przez delegatów, bo to nie potrzeba głowy sobie suszyć i trudzić się na przedsejmiki i t. p., a delegat sam będzie miał ciężar wybierania, i jako mający zaufanie całego powiatu, pewnie wybierze najlepiej. Z razu nie przygotowany na to, a jako szlachcic na roli, nie wiele politykujący, zacząłem już potakiwać, tem bardziej, że mi szanowny gość swej wiary politycznej co do punktów 1 i 2 nie odskonił; lecz po dłuższem namyśle, mając nos nie od parady, zwąchałem pismo i prosiłem o kilka dni namysłu. — „Lecz czas krótki“ — odpowie starszy — „a środek już przez większość uchwalony.“ Wtenczas tem więcej nie dowierzając, oświadczam: — „Ależ, bo taki sposób głosowania

wydaje mi się wstecznym, ukrócającym wolność głosowania.“ — „Gdzie tam! podnosi tę wolność, bo przeszkadza agitacyi, a tę tylko robi różnicę, że szlachta nie będzie wybierała posłów, tylko delegatów.“

Ja: Ależ to szlachta staje się dobrowolnem narzędziem delegata, bo kogo on wybierze, ona musi go wybierać w cyrkule?

On: Cóż to jej szkodzi, skoro sama delegata wybrała?

Ja: Wszakże zgromadzenia przedwyborcze także potrzebne, bo zaszczepiają życie parlamentarne; mowy przy nich, programy, wyznania polityczne kandydatów, oświecają o potrzebach kraju, dają poznać tych, co im najlepiej zaradzić by mogli?

On: Wszystko hałas niepotrzebny i zbyteczny, — to, co się tam dowiedziećby można, wiemy każdy z doświadczenia, a występowanie kandydatów zbyteczne, bo instynktem znamy tych, co nas najlepiej reprezentować mogą.

Wtenczas odpowiedziałem stanowczo, że podsuwanej mi deklaracyi nie podpiszę i na delegatów nie przystaję.

Starszy odjechał niekontent z mej niedyskrecyi, a ja, po bliższem rozpatrzeniu się i rozebraniu uwag moich sąsiadów, poznaję, żem zrobił dobrze, tem więcej, gdy m tą samą drogą badania i wnioskowania z skutków na przyczyny, poznał później

i owe zasady pod §§. 1 i 2, a które, co do mnie, nie przypadają mi do smaku. — Zdaje mi się, że i ci z braci szaraków, co się dali ułować, przyjdą do takiegoż przekonania, a choć się podpisali, nie będą wybierali delegatów, lecz posłów; gdyż nie zechcą zapewne być więcej Schmerlingami jak sam Schmerling; bo dalej, pismo podsunięte, bez namysłu podpisane, nie może być obowiązującym, a nigdy obowiązującym więcej, jak obowiązek Polaka względem kraju swego!

Co do kandydatów, jacy z po za kulis familiantów wyglądają, słyszałem tyle: W. nie mogą już stawiać. — M. nie postawią, bo nie karmazyn. — L. S., choć przeciwko kwalifikacyi nie mają nic do zarzucenia, muszą się wyprzeć, bo popierając M. stał się zdrajcą karmazynów; — a więc godnymi kandydatami tylko ci: F. L., — E. hr. K., — C. K., — F. P. i E. K.

Szlachta szaraczkowa później dopiero zaczęła myśleć o wyborach, i kto wie, czy potrafi już pokonać uorganizowaną falangę karmazynów? Z tem wszystkiem, walka konieczna, a 6 lutego będzie rezultat tejże? Daj Boże, by nad karmazynem, zwycięzcą ustawicznym w czasach upadku Rzeczypospolitej, a którego światło z postępem czasu zblednieć musiało — choć teraz zdrowa szara kapota odniosła zwycięztwo!

P. S. Ale, ale — Familia niechce pod żadnym warunkiem przedwyborczego zgromadzenia w Sanoku, bo tam są adwokaci (*horrendum*), co opisuja ludzi do Narodówki!

II.

O zgromadzeniu przedwyborczem na dzień 21 stycznia b. r. w Czytelni Sanockiej.

Nie bez racyi mówią, że człowiek, to istota stworzona do towarzyskości. Szybka komunikacja myśli, ułatwiona zdań wymiana, tak niezbędnym jest motorem działania, że bez nich nie ma ni czynu, ni ładu w społeczeństwie, które ma stanowić samo o swoich losach.

Gdybyś na wskrós przejechał Galicyę, przekonałbyś się o tej prawdzie najlepiej, bo zobaczysz, że gdzie rzadsze osady — a odnosząc to do właścicieli większych — gdzie rzadsze dwory, tam też głuchszy odgłos odpowiada, gdy publiczna sprawa do nich zakołacze.

Za to u nas w Sanockiem, gdzie gęsto szlachty — bo to u nas każdego tak nazywamy, skoro się poczuwa do obowiązków człowieka i Polaka — otóż u nas te bliskie wybory żywo zajęły wszystkie umysły. Nie dziw zatem, że kiedy wre i kipi, spływają na wierzch bańki conceptów, które

atoli pryskają, skoro się ze świeżem powietrzem zdrowego namysłu zetkną.

Powiadam — conceptów — aby nie nazywać zaraz partją, boć tu wszyscy należymy tylko do jednej, która pragnie całą duszą dobra ojczyzny. O tem niema ani wątpliwości ani mowy.

Ale zkądś licho zawiało do nas politykę i maniery, które jednak tutaj ani kiedy były, ani się też przyjąć mogą. Oto kilkunastu pocziwców ni ztąd, ni zowąd, za jakąś obcą Sanockiemu poradą, chciało nam się przysłużyć osobnym zjazdem, osobną naradą nad naszym szczęściem, wynikającą z osobnych wyobrażeń. Ktoś im wyperswadował, że aby się naradzić o nastąpić mających wyborach do sejmu, nie potrzeba wzywać nas hałaśliwych, nie rozumiejących nic a nic interesu powszechnego dobra, bo ono spoczywa w ich tylko osobach i w ich błogiem powodzeniu. Bo i któż tu jest inny, co by miał w sercu tę miłość ojczyzny (dobrzy ludzie), kto ten zmysł polityczny do ratowania jej szczątków, jeżeli nie oni jedyni? Wszak to natura sama do tej wyższości daje skazówki, wyposażając takich ludzi smakiem subtelniejszym, wybredniejszym, tym delikatnym rozumem, który *fait la mou* na obraz Rejtana Matejki.

Sieroty! nie wiedzą, że ta ich słodycz w zachowaniu, to jak centurja z cukrem; ten zmysł polityczny, dziś jak drogosciaz podgniły na za-

pomnianej drodze, obok bitego gościńca nowego; że ten ich gatunek miłości ojczyzny, tak już zjałowił, iż o nim trzeba, ruszając ramiony, rzec ich frazesem „*on ne saurait qu' en faire par le temps qui court.*” — Każdy widzi, że z takiego elementu tworzyć można partję w salonie, ale trudno temu przyznać żywotność partyi politycznej; to też nikt tu tego nie bierze na prawdę, niech to wraca nazad do tych obwodów z kąd do nas przyjść chciało. Choćby tam kogo takie zachętki u nas i zbałamuciły na chwilę, uważamy się tu wszyscy za braci, a gdyby się tam który miał i za lepszego w skrytości duszy, to mimo tajnych urojeń, niech liczy na naszą przyjaźń otwartą, na której się nigdy nie zawiedzie — bo któż bez ułomności!

Pijemy tu oczywiście do Niesanoczan, ani też winujemy słabostkę kilkunastu wazalów, którymi możniejsi zwykli się bawić do czasu. Ostrzegamy zaś o tem tutaj dlatego, bo u nas w Polsce — świadczyć się dziejami — sprowadzało to zawsze rychły upadek nieraz drogich nam imion i znacznych rodzin, zbałamuconych służalstwem, a odwrotnie, zarażało znikczemnieniem takich posługaczów, bo się podszywali niecnem schlebaniem próżności, z których wynikły dzisiejsze upokorzenia i bieda obydwóch.

Wracam — *ad rem.* — Miały te zamysły i swe dobre skutki, bośmy się zbudzili, a wybraliśmy

czterech mężów, o których wróżymy, że nie mają ani kuzynów do protegowania, ani też sami jakich pretensyi do posłowania — nie jawnej, bo o taką najbardziej prosimy — ale tej tajnej chętki, co to się z tem nie śmie odezwać, by ludzie śmiechem nie parsknęli, tylko się z cicha poleca delikatnemu forytowaniu krewnych i powinowatych. Obraliśmy tedy czterech mężów, jako to: Z. R., T. O., A. T. i zacnego M. ze Strachociny, i ci zwołali na dzień 21 b. m. zjazd do Sanoka, mający się odbyć w Czytelni tutejszych mieszczan, którą się do tego stósownie urządzi.

Zaproszono nań każdego wyborcę — kto w Boga wierzy i dobra powszechnego pragnie — bo też tą razą nie przelewki! Idzie bowiem o to, aby w umizgach niemieckiej wolności nie szczeznąć, jak zaginęli Lutycy, Obotryci lub nadelbiańscy Sławianie, jak się do uprzątnienia i nas z tego świata tu i owdzie serdecznie już zabrano. Idzie tu o to, aby zachować dla siebie i dzieci naszych mienie i uczucie godności — własność i duszę Polaka.

To jeszcze nic, ale my mamy wzmocnić to państwo Austryi, i związać się z niem na złe i dobre losy dobrowolnym, serdecznym układem; a przecież to tak by trzeba uczynić, abyśmy nie zostali, jako pocziwe Szlązaki.

Albowiem ten ludek pracuje jak mrówki od lat siedmiuset, a ubogi jak one — a przez ten

ciąg czasu nie wydał, ani dla siebie, ani dla świata, nic cenniejszego, prócz ponoś tego Amosa Komeniusza, co to ten znany komeniusz wynalazł. Taka to praca marna! taka literatura ludu — gałęzi od pnia odłamanej.

Kiedy się więc zjedziemy 21 b. m., proszę rozważyć, co nam czynić wypada. Doświadczenie uczy, że nam trzeba obrać najprzód prezesa, co by porządek utrzymywał przy rozprawach.

Potem znajdzie się ten, co nam wyłoży potrzeby terażniejszej sytuacji wewnętrznej i zewnętrznej kraju, i zasady które przyjąć należy w wyborze posłów, przedstawiając je do dyskusji i uchwały zgromadzenia. — To uczyniwszy, obraćby trzeba kilkunastu przedstawiających każdą okolicę i każde zdanie i każdy interes, aby się zajęli dalszym kierunkiem wyborów tak w mniejszej, jak większej posiadłości.

Taki wydział, czy komitet wyborczy, przystąpi do wybadania życzeń wyborców, wzywając, by każdy napisał na kartce nazwiska kandydatów, których sobie życzy mieć posłami — przyczem każdy wyborca podając skrutatorom swoje nazwisko, składa swój głos do stojącej na stole urny.

Gdy wszyscy swe głosy oddadzą, wydział uporządkuje zaraz imiona kandydatów wedle ilości głosów, która na każdego przypadła, i wystawi tę listę wraz z ilością głosów każdego na widok

publiczny, afiszując w Czytelni i przesłając odpisy, może nieobecnym kandydatom, z uwiedomieniem o uchwałach i o następnym zjeździe.

Potem powinien Wydział wyznaczyć dzień drugiego zjazdu, w celu wysłuchania kandydatów, interpelowania onychże w sprawach przyszłych zadań sejmowych, wysłuchania ich obrońców i przeciwników. Na tymże drugim zjeździe — po wyczerpanych rozprawach wezwie prezydujący Wydziału do ostatecznego głosowania tak samo kartkami do urny, powołując czterech członków z całego zgromadzenia na skrutatorów do odbierania i obliczania głosów, którzy wywoływać będą do tego każdego wyborcę podług spisu urzędowego.

Scrutinium tak się odbyć powinno :

Skrutator, który dobywa kartkę z urny, czyta ją głośno, daje ją z kolei swoim kołegom, kaźden z nich zapisuje sobie jej nazwisko pod liczbą bieżącą, a ostatni z kolei skrutator oddaje kartkę między zgromadzonych wyborców.

Ci kandydaci, którzy najwięcej mają głosów, zostają wybrani na posłów.

W kaźdym razie, gdzie równość głosów wybór między kandydatami czyni niemożliwym, powtarza się głosowanie już tylko o kandydatów równe głosy mających, a tegoż wypadek rozstrzyga o porządku, w jakim powołani zostają na posłów.

W razie powtórnej równości głosów między dwoma, rozstrzyga los czyli wyciągnięte z urny nazwisko.

Oto jest program naszych zjazdów; dyktuje go rozsądek, stwierdza praktyka po innych krajach, wymaga potrzeba ładu i konieczność zawierowania każdej opinii i każdemu wyborcy swobodnego namysłu i poszanowania jego głosu; tuszymy zatem, że będzie przyjęty.

Karmazyni, tudzież podszywający się pod nich, oburzeni, iż pojawia się wśród nich wolność słowa — a do tego słowa nie ulatującego z wiatrem, lecz drukowanego, któregooby nawet toporem wyrąbać nie można, obrzucili w Narodówce szyderstwem one Listy, nazwali je paszkwilem i wyśmiali ich twórców. Nowe to pisemko zrobiło *fiasco* — reakcja, przy pomocy niektórych agitatorów niewieścich (których nazwisk nie wymieniam), wzięła czasowo górę.

Henryk z załamanemi rękoma patrzył na tę scenę. Zdawało mu się słyszeć, jak czereda dworaków carskich zachychotała śmiechem szatańskim w Petersburgu, przyklaskując wszystkiemu co się dzieje w Galilei. Tryumf dla Kartuszków rozćwiertowanej Polski!

Nie mogąc znieść tego widoku, Henryk powróciwszy do siebie, chwycił za pióro i skreślił polityczny program w formie otwartego listu, pod tytułem: „Nasze Wyznania, List z Galicyi,” kazał wytłoczyć u Pollaka w Sanoku kilkadziesiąt egzemplarzy i rozrzucić po kraju.

Ale był to głos wołającego na puszczy.

Nie mamy pod ręką wspomnionego ogłoszenia; — lecz ponieważ mieściło ono wyznanie zasad, które świeżo ponowione zostały przez przyjaciół ludu ziemi sanockiej w programie wychodzącego czasopisma p. t.: „Reforma“, przytaczamy ów program, aby wykazać, czego w Polsce chcą w obecnym czasie rzeczywiści przyjaciele ludzkości, a nieprzyjaciele kastowości.

XVII.

Program polityczny.

XVII

Programa polityczne

XVII.

Zdaje się, że tak zwana polityka utylitarna już kresu dobiegła. Za uległość naszej większości sejmowej otrzymał kraj ustawę o bezpośrednich wyborach do Rady państwa, autonomia nasza już w pierwszym zarodzie ścieśniona przez liberałów wiedeńskich, będziemy mieli większe podatki i.... nic więcej. Nietylko interesa narodu i wszystkie względy zdrowej polityki, ale poświęcono nawet godność Narodu.

Dziś każdy obywatel kraju ma obowiązek zaprotestowania przeciw polityce, która takie owoce wydała. Im więcej niezawisłych mężów głos podniesie, tem prędzej wyjaśni się sprawa.

Chcąc się przyłączyć do głosów protestujących przeciw tej, tak zwanej, polityce utylitarnej, zakładamy pismo.

Nasz program tak opiewa:

a) W polityce jesteśmy za federacją ludów Austrii. Korony niegdyś Jagiellonów, t. j. koronę węgierską, czeską i koronę polską radzibyśmy widzieli połączone przez dynastję Habsburgów.

Nie zrzekamy się bynajmniej praw historycznych do bytu samoistnego; owszem, w całej pełni domagamy się dla narodu praw jemu wydartych — istnienia w rodzinie oświeconych narodów. Potępiamy tylko frymarkę i smutnej pamięci wicherzenia możnowładców.

Nie zapieramy się idei, która na przekór zdumiewającej się ludzkości nasz naród po męczeńskiej drodze prowadzi, lecz pomni jesteśmy, że Europa dzisiejsza dla idei naszej niczego nie poświęci.

Czyż ludzi nam się darowizną zgrzybiałej dyplomacji europejskiej i wyglądać blichtru odartej Polski? wyglądać w gnusności cienia Polski, która by w niemocy a w ręku możnowładztwa musiała być prostem narzędziem zapamiętałej reakcji? Alboż wyglądać nam w odmęcie i gnusności katastrofy i zupełnego przewrotu w Europie? wyglądać rządów nihilistów, któreby jeszcze bardziej pogorszyły dolę naszą?...

Nie sprzeniewierzajmy się idei narodowej, nie naśladujmy wybiegów obcych w celu wzbogacenia się drogą giełdy i frymarki, bo na tej drodze tylko zguba nas czeka! Zostańmy wiernymi synami Polski, godnymi posłannictwa naszego.

Dom Habsburgów spokrewniony wielokrotnym węzłem z Jagiellonami — dzierżąc kraje korony węgierskiej, czeskiej i część krajów korony polskiej, których losy nieraz wspólne były i które

łączy podobieństwo idei, zwyczajów, interesów i dążeń — nie może mieć szczytniejszej a dla siebie korzystniejszej misji aniżeli naprawienie krzywdy, którą Marya Teresa opłakiwała podpisując akt rozbioru Polski.

b) W kwestyach społecznych jesteśmy za zupełną wolnością. Jesteśmy za równouprawnieniem wszystkich warstw narodu — nie tylko w teorii... ale i w praktyce.

Gdy za świetnych czasów jagiellońskich zasadę równouprawnienia między Polakami a Rusinami rzetelnie uznawano, żyliśmy w świętej zgodzie i było nam dobrze na świecie. Powinniśmy się starać ducha narodu ożywić tą wzniosłą ideą jagiellońską. My Polacy i Rusini na jednej ziemi zrodzeni, chcemy wspólnie i n a w z a j e m się ratować.

Głównem zadaniem pisma jest wyświecanie prawd społecznych. Do spraw życiem tętniących przywiązujemy być nasz; — do nowożytnego ustroju społeczeństwa naszego przywiązujemy nadzieje nasze!

Jesteśmy za tem, aby ogół do cywilizacji podnosić i oświatę między ludem wiejskim szerzyć. Dla dopięcia celu tego żadna ofiara nie jest zbyt wielką.

Jesteśmy za zbiorową gminą jednolitą, za podniesieniem gminy i nadaniem jej autonomii jak najobszerniejszej. Jesteśmy za zniesieniem resztek feudalnych, które kraj i społeczeństwo dotąd w więzach trzymają.

Niepohamowana chciwość tych, co tylko własnej kieszeni pilnują;... co zamiast patriotycznych czynów, w spółce z obcą spekulacją ostatki biednemu krajowi zabierają; co nie dozwalają krajowi swemi potrzebami szczerze się zająć, a osobliwie lud nasz utrzymać pragną w wiecznej ciemnocie; spowodowały nas głównie do założenia pisma, aby przynajmniej wyprzeć się i solidarności z niecnymi zabiegami, i solidarności z robotami jałowemi.

Obszerne pole prac organicznych leży odłogi — dziś na nikogo już oglądać się nie mamy.

c) Na polu ekonomicznem jesteśmy za wydobyciem się z pod lichwy, która nas przygniata.

Handel, przemysł, rolnictwo, upadają pod nieszczęsnymi stosunkami waluty. Kapitał, a najczęściej obca spekulacja, mają przywilej niełitościwego wyzyskiwania wszelkiej pracy. Zdemoralizowane dziennikarstwo wiedeńskie i sfery giełdowe podtrzymują ów stan w widokach samolubnych i wysysają ostatki mienia zubożałych

ludów Austrii. Dążnością naszego pisma będzie zgłębnienie i wykrycie przyczyn tego stanu anormalnego. Tylko wspólnemi siłami — w porozumieniu z koroną i z narodami Austrii — można złemu zaradzić.

Cechą dzisiejszej cywilizacyi jest duch stowarzyszenia; praca wymaga światła nauki i zdrowej organizacyi. My chcemy koalicji pracy i kapitałów. Rolnictwo, przemysł i handel powinny się w jedną całość zespolić, jeżeli mają krajowi i państwu pożytek przynosić. Lud nasz na państwą lichwy wystawiony, potrzebuje szybkiej a dzielnej pomocy.

Jesteśmy za zupełnem przeobrażeniem stosunków kredytowych. Jesteśmy za instytucjami kredytowemi, któreby krajowi przynosiły korzyści rzeczywiste.

Jesteśmy za wykupnem propinacyi na rzecz gminy i utworzeniem przez to funduszu na dźwignięcie ludu pod względem moralnym i materyalnym.

Jesteśmy za uruchomieniem posiadłości ziemskiej, to jest: za podzielnością gruntów tak tabularnych jak włościańskich, wedle woli właściciela; za wprowadzeniem ksiąg gruntowych i uregulowaniem hipotek na podstawach nowoczesnych. Jesteśmy za

wprowadzeniem kadastru wedle wartości, za komasacją gruntów i dokładnem prawnem określeniem a surowem przestrzeganiem granic wytkniętych.

Jesteśmy za obszernem rozwinięciem środków komunikacyjnych, za uregulowaniem rzek i budową kanałów; za wywalczeniem korzystnych warunków cłowych.

Najbardziej zaś jesteśmy za tem, aby wszystkie reformy nam rzeczywiście potrzebne, szybko i szczerze wprowadzono; aby powodem ich nie były drobne uboczne interesiki, lecz by pobudką reform wszelkich była myśl patryotyczna.

XVIII.

Bracia Marmurki.

XVIII.

— Uchodźmy z tych stron, uchodźmy co prędzej, Bolesławie!

— Zkądże znowu ten jęk boleści, Henryku? jęk znamionujący tak mało wytrwałości, cywilnej odwagi....

— Gdyż lękam się tutaj we Lwowie o ciebie, podobnie jak ty lękałeś się o mnie w Paryżu. Czyż nie widzisz do koła owych ócz zimnych, spoglądających na nas z ukosa? czyż nie słyszysz szeptów o biednych emigrantach, na ich niekorzyść?

— Wybacz mój drogi, ależ dziś wolno w Polsce austriackiej nie tylko patrzeć, jak się komu podoba, nie tylko śmiać się do rozpuku, szeptać, ale nawet i mówić.

— Mówić?... to tylko chyba na chwilę... zwłaszcza nam. Za to wolno gadać „*de profundis*“, jak papuga przy papieżu w Kordjanie Słowackiego.... Poglądasz zawsze na świat przez różowe okulary.... Z nielicznych tutejszych zwolenników naszego systemu federacyjnego, jedni zamilkli i usunęli się na stronę z upadkiem ministra Bel-redego; drudzy, trzymając się polityki utyli-

tarnej, czyli właściwiej mówiąc: utylitaryzmu dla swych jednostek, wyparli się swych wyznań. Mamyż, jak Prometeusz, ponosić sami szarpaninę wewnętrzną w obronie światła? za nasze przekonania wypowiadać walkę społeczeństwu, aby, o! Wielki Boże, być niełitościwie przez nie gniewionymi?... Wygwizdzą nas, braciszku — wyszczują — wierzaj mi!... Trudno głową stare mury walić.... Zresztą, nie byłoby to występkiem, przeciw piątemu przykazaniu, marnować swe siły, zamiast oszczędzić je na lepsze czasy?...

-- Mylne zdanie przyjacielu! Gdyby tak każdy myślał, ciemnota do reszty owładnęłaby krajem, który, im jest nieszczęśliwszym, tem winien być droższym jego wiernym synom. Mieliśmy zawsze odwagę protestować przeciw rządowi; a rzadko kiedy przeciw doktrynom owych ziomek chłodnego rozumu i spetryfikowanego serca, poważnych i lojalnych, co nigdy nie opierali się prawej, z bożej łaski i ołtarza postanowionej władzy — owych zacnych mężów porządku, grobowego spokoju — obrońców systemu cytadeli i banicyi....

Te i tym podobne wiedli rozmowy bohaterowie nasi, przechadzając się w oświeconej restauracyi, w stolicy Lwa.

Tymczasem na uboczu siedzieli przy stole dwaj bracia Marmurki, stukając do siebie kieliszkami.

Starszy Marmurek, dobrej tuszy, butnej miny, był przewiązany czarnym pasem na żupanie, z ogromną kłanrą, podobną do puszeki, sterczącą mu na brzuchu. Uchodził za literata. Cokolwiek bądź, był to bez zaprzeczenia jeden z głośnych dzwonów pseudo-literackich, w jakich Lwów obfituje. Mienił się być korespondentem do dzienników zagranicznych, ukończonym jurystą, oraz autorem znamienitych dzieł, mających wyjść dopiero po jego śmierci. Mówiono, że był także agitatorzem politycznym, poplecznikiem już to rządu, już reakcyi polskiej — stosownie do potrzeby; mimo to nader popularnym, liczne mającym wpływy i wszędzie posłuchanie. Byli i tacy, co głosili o patryotyzmie owego sieraczkowego Marmurka.

Młodszy Marmurek blady, chuderlawy, pokazujący i potakujący starszemu, wyglądał jak zgalwanizowany trup odziany czamarką i nakryty rogatywką. Rękawiczki fałdowały mu się na palcach, jak gdyby były naciągnięte na ręce szkieleta.

Oczy ich zwrócone były na emigrantów i taką toczyli gawędę:

— Jak by się ich pozbyć? — rzecze młodszy Marmurek.

— Właśnie o tem myślałem — odpowie starszy. Zachęceni i tak już licznym przykładem, gotowi wszyscy inni z nad Sekwany zwalić się tu na nasze karki, by nam mieć wygodny spokój.

Nastąpił przestanek, dwaj Marmurki wpatrywali się w siebie z zajęciem i znaczącym uśmiechem. Snać, że się rozumieli.

— I jak się tedy pozbyć?...

— Hm! nie łatwiejszego. Wprawdzie Bolesław, szpakami karmiony, musiał przybyć za legalnym paszportem, lecz Henryk, z ostatniego powstania, prawdopodobnie go nie posiada. Gdyby mu kazano wyjechać, Bolesław go nie odstąpi, a tym sposobem fora ze dwóra obydwaj!

— Dobrze, to ich się tylko pozbędziemy ze Lwowa; lecz podobnych ichmościów łańcuchowych, co już wycierali kozy, co układali w Sannoku programy, obecność w kraju jest szkodliwą. Zresztą, jako artyści, mogliby oddziaływać na umysły kobiet na prowincyi, a przez nie utrwalić swój pobyt w Galilei.

— I na to są środki. Dać hasło naszej drużynie! Stronnictwo pazurantów miało sztyletników, nasze ma jeźdźców. Rozgłosić nie stworzone rzeczy na rachunek paniczów zaraz na wstępie, rozumie się pod sekretem....

— Czy się to tylko uda?... Jakkolwiek przywlekli się tu z końca świata, prace ich są znane; pomniki myśli trwalsze od spiżu... zawsze są to ludzie publiczni, należący do hist....

— Właśnie dla tego że publiczni, rzucić się na ich prywatę. Gdyby naszym celom odpowiadali, rozdełbyśmy ich w kształty olbrzymie, ustroili

w klejnoty doskonałości wszelakich, żeby świecili jak obrazy cudowne — ale że nie, więc ani wzmianki o ich pracach... wyższości zawsze niepokoją.... Jakiś ty jeszcze naiwny!... Żeby ich zrównać, do pospolitego wzrostu przykroić, trzeba wprowadzić sceny zakulisowe, rozumiesz? Woń skandaliku! to strawa, co najlepiej u nas smakuje... to najpopłatniejsza ambrozja! Choć troszkę tej przymieszki, a obaczysz...

— Może by lepiej ogłosić ich za Mirosławszczyków?...

— Brawo! choćby za Garibaldczyków... dać im miano demagogów, komunistów....

— Tak, tak, to najpraktyczniejszy sposób; chociaż mówiąc między nami, nie wiele by tu komuniści skorzystali w obec tabuli hipotecznej....

Marmurki pochyłili się ku sobie z lubieżnem wzruszeniem i powtórnie w kieliszki stuknęli.

Potem starszy z nich wszedłszy do przyległego pokoiku rozparł się w fotelu i zaczął wykladać wedle swego widzimisię otaczającym go osobom znaczenie artykułów pism zagranicznych. Mówił liberalnie.

Chudy Marmurek wyniósł się tymczasem cichaczem z restauracyi, i jak złowróżby cień ślaniając się chyłkiem długą ulicą, obok rzędem gorejących latarni, zatrzymał się przed gmachem dyrekcji policyjnej. Spotkawszy się tam z drugim cieniem, coś do niego szepnął. Następnie

zakołatał w furkę, a gdy się rozwarła, znikł w ciemnem sklepieniu.

Nazajutrz o rannej porze Bolesław i Henryk używali jeszcze wywczasu w hotelu, ciesząc się słońcem co witało ich zaglądając z za firanek, napawając rodzinnem powietrzem dnia pogodnego — gdy jakiś nieproszony jegomość, fizyognomii podejrzaney, zjawił się przed ich łózkami. Zapytany: kto jest i czego żąda, wykazał się ze swego urzędu tajnej policyi — i dodał: „teraz ja prosić o reisepasy“.

Bolesław wydobyl swój paszport, wyszukał na nim wizę meternichowską i rozpostartą na dłoni przytknął do nosa agentowi.

Pokorny sługa policyjny skłonił się z przy-mrużonemi oczyma na widok znanego mu orła dwugłowego; — następnie zwrócił się do Henryka — że zaś ten nie posiadał legitymacyi, zapisał jego nazwisko i wyniósł się z mieszkania.

Na drugi dzień biedny Henryk otrzymał rozkaz wyjazdu — w przeciagu dwudziestu czterech godzin.

Dwaj nierozdzielni a nieszczęśliwi przyjaciele, tułacze we własnym kraju, a tak potrzebujący wytchnienia, nie mogąc znaleźć spokojnego przytułku w stolicy galicyjskiej, opuścili takową.

Przygoda podobna dotknęła nie jednego i nie setnego z ziomków naszych, co umyślili szukać schronienia i pracy między Haliczanami.

Niech mi wolno będzie przytoczyć tu jeszcze, jako jeden z licznych tego dowodów, opowiadanie znakomitego autora naszego.

Posłuchajmy:

„W chwili“ — słowa Bolesławity — „gdy jednym okrzykiem brzmiała cała Galicya na cześć nowego namiestnika, gdy nowa zdawała się rozpoczynać dla niej era, zadrgały były wszystkie serca emigranckie, poczęli związywać tłumoczki i gorączkowo wybierać się do ziemi obiecanej. Jednego z tych naiwnych synów nadziei spotkałem gdzieś na rozdrożu... z rozpalonem obliczem i uśmiechniętą twarzą... płynął tam! tam! gdzie kwitły zapaly, okrzyki... świetne nadzieje i radośna przyszłość.

Nie śmiałem go rozczarowywać — spojrzałem nań smutnie, pojechał. W miesiąc potem wrócił milczący z głową spuszczoną, bałem się pytać, był tak znękany i przybity....

— Zatrzymano cię pewnie na granicy? nie miałeś paszportu i pozwolenia przyjazdu?

— Al! nie, rzekł, opatrzyłem się ostrożnie w legalne wizy i osobne przyzwolenia, nikt mi drogi nie tamował.

Zamilkłem.

— Jednak jak widzisz powracam, rzekł ze łzą w oku. Nie byłem nigdy w tej części niegdyś naszego kraju, nie znałem go... biegłem doń z bijącym sercem, z dłonią rozżarzoną, spodziewając się znaleźć tylu braci... przemówić, zapłakać i być zrozumianym... niestety!

Przestał mówić, płakał.

— A! nie nad sobą te łzy leje — dodał — nie egoizm je wyciska — wiercie mi, płaczę nad ziemią, która straciła jedną ze świętych spuścizn narodowych — braterstwo!! —

Nie znalazłem tam nikogo co by się mną zaopiekował, bom nie był z tego kąta rodem. Jedni mię spotkali pochwałą rządu moskiewskiego, od której osłupiałem; drudzy utyskiwaniem nad swą biedą własną; najlepsi radzili mi, abym się co najprędzej wynosił...

W kołach możniejszych znalazłem wstręt obudzony tem, żem był podejrzany o należenie do ostatniej rewolucyi i o rewolucyjność w ogóle... Nie chciano mnie nawet jako oficjalistę, abym zgubnych nie knował zasad między lojalnymi ekonomami dóbr pańskich.... Radzono mi, abym się zaciągnął do legionu zuawów papieżkich....

Jednego czarnego dnia znalazłem się tak sam, opuszczony, jakem nigdy nie był na obcej ziemi. Poszedłem do Panny Maryi, usiadłem na ławie i serce mi się ścisnęło tak, żem myślał iż umrę... W tej chwili komitet *ad hoc* naradzał się nad

restauracją rzeźby Wita Stwosza... czułem, że to było święte przedsięwzięcie... ale nie było komitetu, co by wyrestaurował połamanego, nieszczęśliwego wygnańca.... Poszedłem pieszo na dworzec, otrząsałem pył z nóg moich i idę... umrzeć na wygnaniu... być pogrzebanym — bez księdza.

Gdzie serca nie ma, tam nie ma Polski — *Finis Poloniae?* — gorzej niż pod Maciejowicami.

— Nie bluźnij — odpowiedziałem — nie bluźnij... goryczą zapłynęły ci piersi... miej cierpliwość dożyć jutra...

— Tak! komu na to życia stanie....

Posłuszny rozkazowi Henryk, opuścił stolicę Lwa.

Wierny przyjaźni Bolesław, nie odstąpił towarzysza w ciężkiej niedoli.

Henryk był milczący, piętno cierpienia malowało się na jego bladym obliczu. Bolesław znając uczuciową naturę przyjaciela, którego nieszczęścia usposobiły do łatwego przyjmowania wrażeń, szanował jego milczenie.

Tymczasem wagon pędził z nimi po żelaznych szynach.

Henryk wsparty o poduszkę z zamrużonemi oczyma, zdawał się marzyć w spokoju — atoli

zamyślenie się takie można by nazwać śmiertelnem zamyśleniem — atoli konwulsyjnym ruchem ciała przeświadczył, że zerwała się burza w jego wstrząśnionej duszy.

Ach! ta niewola myśli, słowa i czynu — rzecz z gorzkim uśmiechem, ujmując dłoń Bolesława — to wygnanie mię z własnej ojczyzny pod błachym pozorem, przebóg! jakież to straszne zaparcie się Chrystusa! W czasach najgrubszego barbarzyństwa i najciemniejszego pogaństwa nie zabraniano przecież Synowi bożemu głoszenia swych przekonań, nie pytano go o patent i paszporta... gdy u nas... u nas przedewszystkiem — pocziwi ludzie! plombowani! — pytają, czy jesteś Austryakiem?... inaczej wszystko dla ciebie zamknie... mniejsza o to, żeś Polakiem i człowiekiem... ta nazwa ci nawet szkodzi...

Zadzwoniono na przestanek, wagony stanęły, a z przyległego przedziału załatywały słowa Byrona, dźwięcznym śpiewane głosem:

Nie żał mi ziemi, gdzie młodość strawił,
Nie straszne podróże wodne;
Założę tylko, że nie zostawił
Nic, coby było łez godne.

Henryk zadrżał — opuścił głowę na piersi i znowu oddał się czarnem dumaniom. Nikt go już o paszport nie pytał — pędził na Zachód jak do wieczności. W gorączkowym rozmarzeniu

przywidziało mu się, że opuszczając kraj zrywa ze światem, że w sercu jego wyrosła przedwczesna mogiła, i że zmieniające się co chwila widoki, są to czcze widma, a ludzie szkielety.

Potem zdało mu się, że był z Kongresówki, że wracał do domu, i że przybył na granicę; że pochwycony i odstawiony do cytadeli, utracił w więzieniu dużo krwi i kęsów ciała — i że w końcu dozwolono mu łaskawie resztę swej jaźni zostawić na stepie sybirskim, i część wiary na urąganiach niby-ludu, zwanego Moskałem.

W Sybirze, już oczywiście bez krwi i ciała, został tylko numerem.

Wtrącono go do kopalń. Ciemność była do koła — lita jak skała. Ciemność ta zdawała się poruszać, lecieć gdzieś, ale on był przykuty do jednego miejsca; i stracił różnicę pór roku i doby dnia.

Jedno przy nim światełko walczyło z niemą ciemnością potęgą. Przy jego błyskach widział wydrążenia bez końca, szczerzące się, niby trupiemi oczami, połyskiem metalu. Słyszał hurkot, co ustawał chwilami, i rozumiał, że ma gdzieś podziemnych towarzyszków.

Zdało się Henrykowi, że w owej katordze i on kopał, że kopał w gorączce, na którą się składały: głód — pragnienie — i zimno; że zgrzytając zębami wyłupywał z ziemi bryły złota,

padające cicho w bezdenną otchłań, z której wyskakiwały w postaci sztab i imperyałów.

Gdzież szła jego praca, praca Polaka?

Widział los każdego imperyała, zmienianego często w papierki; imperyały te padały na piersi ludzi i wypalały im piętna, które car przykrywał orderami i wstążkami. Na raz ujrzał, jak polska niewiasta z rąk sprosnego Moskala pieniądz jego bryły przyjęła i dygnęła, od nikogo tak dygać nie nauczona.

— To dzieło mojej bryły! zawołał.

Wściekłość nim ogarnęła, szarpnął i zerwał brzęczące swe łańcuchy, i „zemsty!“ zakrzyczał.

Zemsty! powtórzyło echo w pieczarach.

Tu Henryk poruszył się gwałtownie i poznał, że tylko śni; lecz znowu się zdrzemał, a sen, jakby nie przerwany ani szasnięciem myszki, snuł się dalej. Wreszcie i przebudzony śnił dalej swój sen, — jawę dla tylu a tylu braci!

Przekonawszy się o swojej misyi „mściciela“, uczuł się swobodniejszym, lżejszym. Do jego jamy zaczęły załatywać drobne pyłki, czarne a lśniące przy blasku mrzącego, znużonego kaganka kopalni. Pyłki te latały niespokojnie w powietrzu — łapał je i na dłoni zdawały mu się dopiero uspokajać.

Był to proch strzelniczy.

— Kiedy już Polka — mruczał sobie — za wykopaną, ręką polskiego jeńca, warstwę złota

mizdrzy się kacapowi, swemu zhańbicielowi — to już czas! Tylko nagromadzić tyle prochu, aby wystarczyło na rozsądzenie całej ziemi — tej ziemi bez Polki, więc bez Polski, — i tylko wryć się do samego łona tej podłej ziemi, dobrej chyba na umizgi psiarni moskiewskiej... za podłej na przebywanie szatana, i — rozsądzić ją! Gdyby to można rozsądzać ją po kawałku?...

Przemyśl! zehn minuta poczekanie! wrzasnął chropowatym głosem konduktor na stacyi kolei.

Bohater nasz ocknął się i przyszedłszy do siebie, zrobił znak krzyża świętego.

Za chwilę w dzwon uderzono, wagony poleciały dalej.....



SPIS

najnowszych wydań dzieł J. GORDONA.

- I. **Obrazki caryzmu.** Pamiętniki. — Biblioteka pisarzy polskich, Tom VI. Lipsk, Brockhaus, 1863.
 - II. **Sołdat.** Nowe pamiętniki. — Biblioteka pisarzy polskich, Tom XXXIII. Lipsk, Brockhaus, 1865.
 - III. **Kaukaz,** czyli ostatnie dni Szamyla. Powieść historyczna. — Biblioteka pisarzy polskich, Tom XXXIV. Lipsk, Brockhaus, 1865.
 - IV. **Przechadzki po Ameryce.** — Berlin, Behr, 1866.
 - V. **Podróż do Nowego Orleanu.** — Biblioteka pisarzy polskich, Tom XLVIII. Lipsk, Brockhaus, 1867.
 - VI. **Obrazki galicyjskie.** — Sanok, Pollak, 1869.
 - VII. **Meine Kerker in Russland** (przedruk z Wanderer'a). — Leipzig, Kollmann, 1863.
 - VIII. **Sechs Jahre in Orenburg.** — Dresden, Wolf, 1864.
 - IX. **Mes Prisons, ou l'exil en Sibérie.** — Genève, Cherbulier, 1862.
 - X. **Sołdat** w przekładzie czeskim, z portretem autora. — W czasopiśmie illustrowanem: „Zlata Praha“, 1864.
-

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000964901



II 24996

NARODOWY
ZASÓB
BIBLIOTECZNY